

Głos z nad Niemna

Pismo Związku Polaków • Rok wydania V • 1 - 7 maja 1995r • nr 17



Wybory do Rad wszystkich szczebli, a szczególnie do Rady Najwyższej Republiki Białoruś, to wydarzenie, od którego przez okres najbliższych 5 lat będzie zależało nasze życie. Jak Państwu wiadomo, w minionej kadencji nikt nie reprezentował Związku Polaków na Białorusi w Parlamencie. Nie pozwoliło nam to uczynić jeszcze jednego kroku naprzód, w dziele naszego odrodzenia narodowego, gdyż nie było komu za-

WYBORY - SZANSA, KTÓREJ ZMARNOWAĆ NIE MOŻEMY

brać głos na tematy, które nas, Polaków, bolały. Tak ważny dla nas wszystkich problem budowy szkoły polskiej w Grodnie, nie mógł być przez nas nagłośniony z mównicy parlamentarnej na całą Białoruś i świat.

Dzisiaj sytuacja polityczna jest inna. Związek ma swoich kandydatów i może ich wprowadzić do Parlamentu. Możemy to uczynić tylko wspólnie zjednoczeni olbrzymią ideą naszego Odrodzenia i wielką chęcią pokazania tym wszystkim, kto nie jest nam życzliwy, że potrafimy w chwilach decydujących być razem, mimo że mamy różne poglądy i należymy do różnych opcji politycznych. Chciałbym, żebyście zrozumieli Państwo, że w tym momencie nie chodzi o tego, bądź innego kandydata, bo do każdego z nich można mieć te lub inne pretensje i będzie to wykorzystywane przez naszych przeciwników, a chodzi przede wszystkim o to: być, albo nie być! Albo być na naszej ziemi, gdzie

urodziliśmy się, na prawach równych obywateli, albo, jak ma to miejsce dzisiaj, na pozycji ludzi, walczących o swoje prawa. Osobiście znam wszystkich członków Związku, którzy kandydują i dobrze wiem, że nie zdradzą naszych interesów. Proszę więc wszystkich wyborców - zmobilizujcie się, odrzućcie wszystkie Wasze obawy i niezadowolenia i przyjdźcie 14 maja do Waszych okręgów wyborczych wspólnie z rodzinami, bliskimi i przyjaciółmi, żeby poprzeć naszych kandydatów i wprowadzić ich do Parlamentu. Pozwoli nam to głośno mówić na cały świat o naszych problemach i żądać ich rozwiązania. Musimy to uczynić jeszcze i z tego względu, że ludziom, stojącym dziś u władzy, nowy Parlament nie jest potrzebny. Wobec powyższego, chcą oni zablokować wybory i rządzić państwem po dyktatorsku, bo takim sposobem łatwiej jest okłamywać i wykorzystywać ludzi. Pamiętajmy jednak o tym, że od dyktatorstwa do totali-

taryzmu jest tylko jeden krok, więc nie pozwólmy, żeby powróciło do nas to, co kiedyś już przeżyliśmy. Obowiązkiem nas wszystkich winno być utrzymanie demokracji i wolnych wyborów. Wszelkie inne kłamstwa, że wybory i wyborcy nic nie dadzą, są właśnie skierowane na ich zerwanie i stworzenie sobie warunków do rządzenia bez kontroli. Związek Polaków na Białorusi zawsze stał po stronie tych, którzy walczyli o niezależność i suwerenność naszego państwa białoruskiego. Mamy obecnie przed sobą jeszcze jeden, bardzo decydujący egzamin, który musimy zdać.

Zagłosujemy więc w dniu 14 maja na demokrację, a to znaczy, na kandydatów ZPB, lub tam, gdzie ich nie ma i nie ma żadnego w tym temacie porozumienia, na kandydatów, dla których demokracja jest nadrzędnym celem i sensem ich życia.

Tadeusz GAWIN
Prezes Związku Polaków

Uroczystości w Wołpie

13 maja b.r. odbędą się w Wołpie uroczystości jubileuszowe 360-lecia ołtarza. Jego fundatorem był Kazimierz Lech Sapieha. Kościół w Wołpie liczy sobie 220 lat, a ołtarz pochodzi z dawnego kościoła, który znajdował się na miejscu obecnego. W tym kościele przez 21 lat nie było księdza. Miejscowa ludność w niedzielę sama odprawiała nabożeństwa i nie pozwoliła kościoła zburzyć, ani zamknąć.

W ostatnich latach wykonano szereg prac porządkowych na terenie kościoła. Cały obiekt sakralny i wszystkie ołtarze odnowiono, zaś dach pokryto blachą ocynkowaną i na wieżach umieszczono piorunochrony. Od strony północnej kościół chylił się ku ziemi. Dzięki odpowiedniej technologii, udało się podnieść jedną stronę kościoła o 10 cm i założyć fundament.

Obecnie kościół posiada swego proboszcza. Jest nim O. Jan Bartos.

Wszystkich wiernych parafii wołpiańskiej, oraz dekanatu wołkowyskiego, zapraszamy do udziału w uroczystościach jubileuszowych.

D.K.

Podczas wiecu społeczności Grodna, zwołanego przez miejscowy Oddział Związku Polaków rozbrzmiewał krzyk rozpacz. Ale czy tym razem dotrze on do uszu prezydenta i rządu oraz kierowników prezydenckiej "wertikali"?

Na wiec przyszło wielu grodnian: rodzice, uczniowie, przedstawiciele społeczności, którym nie jest obojętna sprawa rozwoju polskiego szkolnictwa i budowa polskich szkół. Ten akt protestu przeciwko antypolskiej polityce kierownictwa republiki zgwałcił wiceprezes Zarządu Głównego Związku Polaków, Tadeusz Malewicz.

- Znajdują się tu razem z nami również bracia Białorusini - podkreślił on w krótkim słowie wstępnym. - Zebraliśmy się, by omówić nie tylko problemy rozwoju szkoły polskiej. Dzisiaj sytuacja w Republice jest skomplikowana, świadczą o tym dzisiejsze hasła. Zebraliśmy się, by przypomnieć o

Wiec protestacyjny w Grodnie

KRZYK ROZPACZY

nałęcznych nam prawach społecznych, ekonomicznych i innych.

Głos zabiera prezes Związku Polaków, Tadeusz Gawin:

- Drodzy Przyjaciele, Rodacy!

Wielu z Was, kto przyszedł dziś na ten plac, zadaje sobie pytanie: czyżby dla osiągnięcia tego, co jest rzeczą normalną i rozstrzyga się na podstawie ustawodawstwa w państwie demokratycznym, w naszym kraju, potrzebna jest obowiązkowo walka z biurokratami wszystkich szczebli i stosowanie, nieraz skrajnych, środków.

Zebraliśmy się z Wami, by wypowiedzieć swój protest pod adresem prezydenta i rządu, którzy ignorują nasze prawo do szkoły narodowej.

W 1948 r. w Grodnie zamknięto ostatnią polską szkołę, stawiając tym samym nas, Polaków, na krawędzi unicestwienia, jako narodu. Decyzję tę podjęło wyłącznie na Białorusi jej partyjne kierownictwo. W tym samym okresie, w ówczesnych republikach byłego Związku Radzieckiego - na Ukrainie i Litwie - nikt nie zamykał polskich szkół i szkoły te funkcjonują do dziś.

Był to początek wyprawy krzyżowej nie tylko przeciwko Polakom, lecz i przeciwko Białorusinom. Za kilka lat podobny los spotkał szkoły białoruskie. W taki sposób został zapoczątkowany proces rusyfikacji narodów-braci.

Ale dziś nastąpiły czasy, gdy pewna część naszych rodaków chce się uczyć i uczyć własne dzieci w klasach z polskim językiem wykładowym. Akurat teraz zaistniał problem zgromadzenia tych dzieci, które są rozproszone w czterech szkołach w różnych dzielnicach miasta, w polskiej szkole, do której my od dawna mamy prawo.

Rozumiejąc trudności ekonomiczne w naszym kraju i rozumiejąc, że dziś jest ciężko wszystkim, zaproponowaliśmy rządowi i władzom miasta Grodna, by ten ciężar podzielić w taki sposób, by budowę jednej szkoły wziął na swe barki rząd Republiki Białoruś, a drugiej - Związek Polaków.

Swoje obowiązki wykonujemy i za kilka tygodni rozpoczniemy budowę szkoły w dzielnicy Dziewiatówka. Nie czekając, dopóki coś w tej sprawie zacznie robić rząd, opracowaliśmy i zatwierdziliśmy techniczną dokumentację drugiej polskiej szkoły i otrzymaliśmy plac pod jej budowę.

Pragnę podkreślić, że problem, dotyczący budowy szkoły, nie jest nowy. Począwszy od 1991 r., zwracaliśmy się do różnych instancji i mamy pisemne odpowiedzi, w których jeszcze od 1992 r. na wszystkich szczeblach obiecano nam budowę szkoły.

Mamy zapewnienie w tej kwestii byłego kierownictwa, oraz osobiście pana Łukaszenki, kiedy to on w czasie kampanii wyborczej gościł w naszej siedzibie. Aleksander Grigorjewicz bardzo się rozgniewał, że biurokrata Kiebic w taki sposób ustosunkowuje się do naszych sprawliwych potrzeb i obiecywał w obecności panów Siergieja Posochowa, Aleksandra Fieduty i Władimira Niściuka, że gdy zosta-

Ciąg dalszy na str. 2



Podczas mityngu



Przemawia Eugeniusz Sajkowski



Na zaproszenie BFN na Białorusi przebywała grupa posłów Sejmu RP z klubu parlamentarnego "Unii Wolności".

W związku z obchodami 50 rocznicy Zwycięstwa w Wielkiej Wojnie Ojczyźnie rząd białoruski przeniósł dzień roboczy z poniedziałku 8 maja na sobotę 6 maja.

Jak podaje Ministerstwo Statystyki i Analizy RB, ceny na artykuły żywnościowe w styczniu-lutym 1995 r., w porównaniu do stycznia-lutego 1994 r., wzrosły następująco: mięso i drobi - o 2058%, kielbasy - o 1792%, przetwory mleczne - o 8924%, pieczywo - o 3640%, cukier - o 2315%, warzywa - o 2316%.

W Krakowie odsłonięto Pomnik Ofiar Komunizmu - symbol dla rodzin, które nie wiedzą, gdzie pochowano zwłoki najbliższych.

Wschodnia Dyrekcja Okręgowa Kolei Państwowych w Lublinie podpisała umowę z firmą ochroniarską Renoma w Sopocie, powierzając prywatnym detektywom kontrolę biletów w pociągach. Okazali się oni skuteczniejsi w ściganiu pasażerów na gapę od kontrolerów PKP, poza tym przyczyniają się do poprawy bezpieczeństwa podróży w pociągach.

W 85 rocznicę powstania polskiego ruchu harcerskiego i 60 rocznicę złotu jubileuszowego w Spale, Związek Harcerstwa Polskiego zwołuje w Żegżu w dn. 3-15 sierpnia b.r. światowy zlot. Spodziewany jest udział ok. 5 tysięcy osób.

Potężny wybuch gazu zniszczył 11-kondygnacyjny budynek przy Al. Wojska Polskiego w dzielnicy Gdańsk-Wrzeszcz. Zginęło ok. 20 osób, kilkadziesiąt jest rannych.

UWAGA PREZESI ODDZIAŁÓW ZPB

W bieżącym 1995 roku ZPB ma zamiar zorganizować IV Festiwal Piosenki Polskiej w dwóch rejonach.

Pierwszy etap Festiwalu odbędzie się 21 maja w Lidzie i obejmie północną część Republiki Białorusi. Do Lidy zapraszamy zespoły z rejonów:

Grodno ("Lechici"), Szczuczyn, Woronowo, Lida, Oszmiana, Brasław, Iwie, Wołożyn (Iwieniec), Nowogródek, Wilejka, Korelicze, Miadź (Swir).

Drugi etap Festiwalu obejmuje południową część Białorusi i odbędzie się 4 czerwca w Stonimiu. Do Stonimia zapraszamy zespoły z rejonów:

Grodno ("Głos z nad Niemna"), Brzostowica, Swisłocz, Wołkowysk, Baranowicz, Brześć, Kobryn, Pińsk, Nieśwież, Mosty, Bobrujsk.

Zgłoszenia uprzejmie prosimy wysłać na adres: 230023 Grodno

ul. Dzierżyńskiego 32 Oddział Kultury.

Organizatorzy Festiwalu ZPB zwracają koszty podróży.

Zwrot kosztów za wynajęcie autokarów będzie przebiegał według następujących zasad:

1. Proponuje się wynająć autokar na dojazd i powrót uczestników.

2. Za wykonane usługi transportowe prosimy pobierać rachunki w przedsiębiorstwach transportowych.

3. Te rachunki prosimy wysłać pocztą listem poleconym lub przekazać do późniejszego opłacenia organizatorom.

Ze względu na ograniczone możliwości finansowe Związku uprzejmie prosimy o zawieranie oszczędnych umów z przedsiębiorstwami transportowymi.

4. Festiwal rozpoczyna się Mszą św. w kościołach o godz. 9.00

W Lidzie - w kościele Farnym, w Stonimiu - w kościele Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny.

5. Koszty biletów kolejowych i autobusowych będą zwracane na miejscu.

Organizatorzy.

AKTUALNOŚCI • FAKTY • WIADOMOŚCI

KRZYK ROZPACZY

Ciąg dalszy ze str. 1

nie wybrany prezydentem, to w szybkim tempie rozwiąże nasz problem.

A co mamy dziś. Prezydent Łukaszenko nie tylko nie zajął się naszą sprawą, ale ani on, ani rząd nie odpowiedzieli ani na jeden nasz list. Pan prezydent, podczas ostatniego pobytu w Grodnie, obiecywał, że przyjmie kierownictwo Związku Polaków i pomoże w rozwiązywaniu wszystkich problemów.

Dzisiaj widzimy cenę tych obietnic.

Rodzice, dzieci których uczą się w polskich klasach, są doprowadzeni do rozpacz, niejednokrotnie pikietowali oni przed Obwodowym Komitetem Wykonawczym i przed gmachem rządu w Mińsku, ale, jak dotychczas, nikt ich nie wysłuchał.

Mówią nam, że na budowę szkoły brakuje środków. Nie jesteśmy ślepi, odbieramy to jako świadomą politykę, skierowaną na to, by zrujnować z takim trudem stworzone polskojęzyczne nauczanie naszych dzieci, jako politykę, która zadaje gwałt naszym prawom. Nas ponownie chcą cołnać do tych warunków historycznych, w których przeżywało się na początku naszego odrodzenia.

Drodzy Przyjaciele! Kończąc swoje wystąpienie, chcę przypomnieć kierownictwu Republiki o tym, że my, Polacy, codziennie swoją pracą wzbogacamy nasze państwo, płacimy podatki do jej budżetu i posiadamy niemałą jego część, której wystarczyłoby na budowę dziesiątków szkół. A gdyby tego było mało, proponuję: te pieniądze, które przeznaczają się na referendum, należy przekazać nam, Polakom, na budowę polskiej szkoły.

Myślę, że taka decyzja będzie słuszną i zadowolą nas wszystkich. Następnie głos zabiera pan Eugeniusz Sajkowski.

W imieniu rodziców - mówi on - chciałbym wyrazić swój ból. Jak można składać obietnicę i nie wykonywać tego, o czym zapewniał Prezydent. Obiecywał on uruchomić fabryki i zakłady, ale nie zrobił tego. Ludzie stają się coraz biedniejsi, niektórzy nie mają co włożyć do ust.

My, Polacy, jesteśmy takimi samymi obywatelami Białorusi, jak inni. Pracujemy, płacimy podatki i jestem pewien, że mamy prawo do polskiej szkoły, do nauki języka ojczystego - języka naszych przodków. W tej kwestii Prezydent powinien wykonać swój obowiązek.

Myślę, że z pomocą Związku Polaków i braci-Białorusinów, osiągniemy swój cel.

W imieniu rodziców wystąpił także Stanisław Sienkiewicz - prezes Grodzieńskiego Obwodowego Oddziału ZP.

Często nas oskarżają, oznajmili on, że rzekomo staramy się przeprowadzić polonizację. A co robi nasz Prezydent, który prowadzi wiadomą politykę sąsiedniego państwa.

Nasza władza umie obiecywać. Kielbasę przedwyborczą rozdają szczerze. Prezydent, premier - wszyscy obiecywali zbudować szkołę, a teraz powiadają, że brakuje środków. Zresztą, tak jak brakuje na herb "Pogoni", by umieścić go na budynku Obwodowego Komitetu Wykonawczego. Jestem pewien, że gdy powróci stara symbolika, to na drugi dzień po referendum, herb z kłosałami pojawi się na budynku. Pieniądze na to się znajdują.

A o naszej świętej sprawie milczą. Ponieważ szkoły - to oświata. A bez oświaty naród jest ciemny. Nie chcemy być takimi.

W roku bieżącym na Grodzieńszczyźnie budują się szkoły. Jedna z nich mogłaby być

polską, ponieważ Polacy stanowią czwartą część mieszkańców obwodu i mają prawo pretendować na taką część środków. Nasze interesy powinny być zaspokajane w taki sposób, jak to się robi w krajach cywilizowanych.

Z apelem do Polaków, Białorusinów, Rosjan i przedstawicieli innych narodowości, którzy uczestniczyli w wiecu, zwrócił się przedstawiciel Partii Frontu Narodowego Kastyus Ziń.

Od wieków nasze narody żyły tu w zgodzie, nigdy nie kłóciły się, - zaznaczył mówca. - Białoruś jest, jak ptak o dwóch skrzydłach. Gdy odciąć jedno lub drugie, gdy zginie ptak, zginie nasze państwo i nie będzie ani polskiej, ani białoruskiej, ani innej mowy. Dlatego my, Białorusini, znając sytuację w Republice w przededniu wyborów, będziemy zawsze popierać swoich kolegów - Polaków, Litwinów, by ich język rozbrzmiewał w szkołach, by uczyli się "malczynej mowy".

Zarzucając Prezydentowi ignorowanie języka białoruskiego, mówca nawoływał wszystkich, by przyszedli w dniu wyborów do

Rezolucja uczestników wiecu

My, uczestnicy wiecu w Grodnie, stwierdzamy, że:

- Każdego dnia obserwujemy pogarszającą się sytuację ekonomiczną, która prowadzi do pogorszenia społecznego stanu ludzi pracy. Część społeczeństwa znalazła się na granicy nędzy.

- Polityczne decyzje zdominowały decyzje ekonomiczne, nie dając możliwości przeprowadzenia skutecznych reform.

- By odwrócić uwagę ludzi od problemów życia codziennego, rząd poszedł drogą przeprowadzenia spreparowanego referendum.

- W kraju są ignorowane prawa obywatelskie i ustawy państwowe, w tym prawa Polaków do szkoły w języku ojczystym.

Nawet niepełna analiza sytuacji w Republice i obwodzie wzbudza trwogę.

Biorąc to pod uwagę, zwracamy się do Prezydenta Białorusi Aleksandra Łukaszenki z następującymi postulatami:

- Prosimy podjąć decyzję, dotyczącą stabilizacji ekonomii i zapewnić gwarancje socjalne obywatelom kraju.

- Nie interpretować, a wykonywać przyjęte ustawy, w tym, zagwarantowane prawa Polaków - obywateli Białorusi - do szkoły z ojczystym językiem nauczania.

- Zapewnić realizację tego prawa - rozpocząć w bieżącym roku budowę polskiej szkoły w Grodnie na koszt Państwa Białoruskiego.

- Zrezygnować z przeprowadzenia podczas wyborów do Rady Najwyższej RB referendum, a pieniądze przeznaczone na referendum skierować na budowę w Grodnie szkoły z polskim językiem wykładowym.

Rezolucja została przyjęta podczas wiecu 19 kwietnia 1995 r.

STANIE SIĘ DOBRA TRADYCJA

W Grodnie odbyły się Dni Filmu Polskiego. Jak zaznaczył na uroczystości otwarcia Generalny Konsul RP w Grodnie, dr Mariusz Maszkiewicz, ten przegląd był zorganizowany po raz pierwszy i będzie służył dalszemu rozwojowi związków kulturalnych między sąsiednimi krajami. Grodnieanie w ciągu kilku dni mogli zapoznać się ze znanymi filmami, takimi jak "Samy swoi" reż. S. Chęcińskiego, "Rejs" M. Piwowskiego, "Hubal" B. Poręby.

A młodych widzów ucieszyło spotkanie z ulubionymi filmami animowanymi W. Nehrebeckiego, o Bolku i Lolku.

Mamy nadzieję, że Dni Filmu Polskiego staną się tradycją i w przyszłości będą się odbywały nie tylko w Grodnie, ale także w miastach i wsiach Grodzieńszczyzny, z udziałem reżyserów i wybitnych aktorów, występujących w interesujących filmach.

Ryszard KARACZUN

OGŁOSZENIE

Szanowni Grodnieanie!

30 kwietnia o godz. 12.00 w Katedrze odbędzie się Msza św. w intencji zamordowanych 55 lat temu w Katyniu, Ostashkowie i Starobielsku oficerów polskich z Grodna. Prosimy wziąć udział we Mszy św. krewnych zamordowanych.

Zarząd Miejski ZPB
Oddział w Grodnie

Delegacja Senatu RP w Nieświeżu

Delegacja Senatu RP na czele z Marszałkiem Senatu, p. Adamem Struzikiem odwiedzi Nieśwież.

W Rejonowym Komitecie Wykonawczym odbyło się spotkanie delegacji z przedstawicielami władz rejonu. Obecni byli p. Ambasador RP, prof. Elżbieta Smułkowa, I sekretarz Ambasady, p. Krzysztof Dłuzewski, Przewodniczący Komisji do Spraw Polityki Narodowościowej i Stosunków Międzynarodowych Rady Najwyższej RB, p. Michał Słemniow, oraz prezes i wiceprezes Rejonowego Oddziału ZP.

Przewodniczący Rejonowego Komitetu Wykonawczego, p. Włodzimierz Drazyn, zapoznał distinguished gości z rozwojem miasta i rejonu, stosunkiem władz rejonu do polskiej mniejszości narodowej, do działalności ZP w Nieświeżu, przedstawił sprawy, dotyczące zachowania spuścizny kulturalno-historycznej Nieświeża.

Podczas rozmowy Marszałek Senatu RP, p. Adam Struzik, złożył propozycję władzom rejonowym, dotyczące ścisłej współpracy Nieświeża z jednym z miast woj. płockiego. Przy tym, p. Adam Struzik podkreślił, że z polskiej strony, w najbliższym czasie rozpoczną się konkretne działania w tej sprawie.

Bardzo serdecznie witali distinguished gości członkowie ZP, dzieci i młodzież polska w Nieświeżu. Prezes Rejonowego Oddziału ZP, p. Wanda Niżewicz, zapoznała wszystkich zebranych w Klubie Polskim z działalnością oddziału w sprawie odrodzenia języka ojczystego, kultury i tradycji polskich, z problemami i trudnościami.

W imieniu wszystkich, mieszkających w Nieświeżu i okolicach Polaków, członkowie ZP, młodzież i dzieci, przekazał przez p. Marszałka serdeczne podziękowanie władzom Rzeczypospolitej Polskiej, "Współocie Polskiej", Fundacji im. T. Goniowicza. Stawiającemu Nieświeżan w Polsce, za pomoc, troskę i opiekę.



Przed uczestnikami zebrania, z krótkim przemówieniem, wystąpił Marszałek Senatu, p. Adam Struzik. Delegacja Senatu RP przekazała w darze dla Biblioteki Polskiej w Nieświeżu kosztowne pozycje klasyków literatury polskiej. Dzieci otrzymały upominki i słodycze.

Na spotkaniu w Klubie Polskim byli obecni Przewodniczący Rejonowego Komitetu Wykonawczego, p. Włodzimierz Drazyn i Deputowany do Rady Najwyższej RB, p. Michał Słemniow. Na pożegnanie Nieświeżanów odśpiewali dla distinguished gości tradycyjne "Sto lat". Delegacja Senatu RP odwiedziła zabytki Nieświeża, między innymi, kościół p.w. Bożego Ciała, Zamek Radziwiłłów, starodawny park.

Jan IWASZKIEWICZ
Wiceprezes Oddziału ZP
w Nieświeżu

Na zdjęciu: prezes Oddziału ZP, p. Wanda Niżewicz, przekazuje upominki Marszałkowi Senatu RP, p. Adamowi Struzikowi.

um wyborczych bronić języka białoruskiego i obecną symbolikę państwową.

- To, że na naszym wiecu rozbrzmiewają trzy języki - powiedział przedstawiciel Partii Zgody Narodowej, Dmitrij Kumosow - jest symboliczne. Mówimy dziś o polskiej szkole, ale problem ten widzę szerzej: nasza Republika nie stała się państwem prawa, nie przestrzegana jest Konstytucja. Każdy ma prawo rozmawiać w tym języku, w jakim chce, każdy ma prawo na edukację w tym języku, jaki wybierze sam i jego rodzice.

Musimy działać wspólnie, wzajemnie się popierając. Gdy zwyciężymy w wyborach, to powstały problemy można będzie rozstrzygać znacznie prościej i szybciej, na zasadach demokratycznych.

- Zebraliśmy się tutaj nie z przyczyny łatwego życia, - zwrócił się do zebranych Deputowany Rady Najwyższej Nikołaj Markiewicz - z uwagą zapoznałem się z problemem szkół polskich, wystąpiłem w tej kwestii na sesji, składałem interpelacje do Prezydenta, Przewodniczącego RN i zadawałem jedynie pytanie: Powiedźcie mi, czy otwarcie polskich szkół jest żądaniem sprawiedliwym? Przesłuchiwałem wszystkie Ustawy, Konstytucję i stało się jasne, że rząd, który odmawia budownictwa polskiej szkoły, łamie prawo.

W taki sposób stwarza konfrontację. Musimy iść na wiec, zamiast być ze swoimi rodzinami, spotykać powracające ze szkół dzieci. I nie tylko Polacy. Są tu obecni przedstawiciele Frontu Narodowego. Zawsze byliśmy razem.

Historia pokazała, że na początku dławia język białoruski, później następuje kolej języka polskiego, jeżeli na początku dławia język polski, to później następuje kolej języka białoruskiego.

Zgadzam się z Tadeuszem Gawinem - oznajmił M. Markiewicz - że zamiast przeprowadzić referendum, lepiej byłoby skierować część przeznaczonych na to środków, oddać na budownictwo polskiej szkoły.

O ignorowaniu interesów polskiej ludności na Białorusi, mówiła była uczennica polskiej szkoły w Grodnie, zamkniętej przez władze w 1948 r., prezes Oddziału ZP w Żyrnuchach (rejon werenowski) Krystyna Żulego.

Uczestnicy wiecu wzięli sprawy odrodzenia narodowego z koniecznością demokratyzacji społeczeństwa białoruskiego, gwarancji socjalnych i zapewnienia praw człowieka. A jest to możliwe jedynie w wyniku zwycięstwa sił demokratycznych w wyborach do Rady Najwyższej i miejscowych Rad Deputowanych.

Uczestnicy wiecu jednogłośnie przyjęli rezolucję.

Ryszard KARACZUN



Mamy zaszczyt złożyć serdeczne życzenia naszemu Kochanemu i Czcigodnemu Księdzu Proboszczowi Stanisławowi PYTEL w Dniu Imienin. W imieniu parafian i swoim własnym, za Wasz ciężki trud i piękne słowo kapłańskie, słowo prawdy, które krzepi nasze serca, pomagają nam w przezwyciężaniu naszych słabości i cierpienia, serdecznie dziękujemy. Składamy najserdeczniejsze życzenia: dużo zdrowia, wszelkiej pomyślności i sił w służbie duszpasterskiej.

Ks. Stanisław
Jesteś pasterzem wasiliskiej parafii,
Chociaż przebywasz tu krótko
Krzepisz nas duchem, któż tak potrafi
Promiennym blaskiem Boga Zbawiciela.
Jan KIRWIEL

Wasiliszki

Siostram Zofii i Anastazji w Dniu Imienin najlepsze życzenia zdrowia i wytrwałości w ich żmudnej pracy, katechizacji maluchów i dzieci, zycząc

wdzięczni parafianie z Wasiliszek

Przewodniczącą Kółka Kobiet Pani Jadwidze ZAJĄC dużo zdrowia, pomyślności i sukcesów w pracy życząc

członkinie Kółka

Z okazji Urodzin Prezesa Wołkowyskiego Oddziału ZP Pani Anny SADO-WSKIEJ dużo zdrowia, pomyślności w pracy życząc

Prezes ZP Tadeusz GAWIN
i Redakcja "Głosu z nad Niemna".

ODRODZENIE

"CHRZEST" PO SOWIECKU

Nieraz czytelnicy "Głosu" podejmują problem narodowości polskiej w Republice Białoruś. Dla władzy sowieckiej to był jeden z najważniejszych, jeżeli nie głównych, problemów, dotyczących wyniszczenia Polaków na tych terenach, jeżeli nie fizycznie, to chociaż statystycznie. Tę pracę sukcesywnie przeprowadzano w BSSR do 1939 r., a po włączeniu wschodnich terenów Polski do ZSRR, przeniesiono tę pracę i na nasze tereny.

Stosowano różne metody w celu wynarodowienia i likwidacji ludności polskiej: masowe wywózki całych rodzin na Sybir i do Kazachstanu, osadzanie poszczególnych osób w więzieniach i łagrach, skryte mordy na miejscu, w zakamarkach NKWD. Planowano i brutalnie paraliżowano, wszelkie życie kulturalno-duchowe, religijne, niszczone kulturę materialną; jak: polskie biblioteki społeczne i prywatne, niszczone kościoły, kaplice, krzyże i przydrożne kapliczki, pomniki i groby zmarłych ludzi, niszczone pałace i zamki, dewastowano polskie cmentarze, gdzie najbardziej uwidoczniła się obecność polskości na tych ziemiach. Wyżej wyrażone ogólnikowo poglądy, potwierdza kilka konkretnych przykładów. W miasteczku Juraciszki, w 1941 r. miejscowe NKWD aresztowało Jana Hermanowicza. Był to młody, rozwinięty i inteligentny chłopak, służył zawodowo w wojsku w Lidzie, grał w orkiestrze. Jesienią 1941 r., po wkroczeniu Niemców, ciało jego przypadkowo odnaleziono na prawosławnym cmentarzu, a na ścianach poddasza budynku NKWD, zostały ślady kul i ludzkiej krwi.

W latach 1949-50 władza sowiecka w byłym obwodzie mołodeczańskim, i nie tylko, wpadła na bardziej "oryginalny" sposób zwalczania Polaków. Tego sposobu nie stosowano tylko w obwodach przygranicznych z Polską - grodzieńskim i brzeskim. Oto, jak to robiono w byłym rejonie juraciszko-wskim, iwjewskim, oszmiańskim i wielu innych. W wyznaczony dzień, do sielsowietu wzywano wszystkich mężczyzn, jak Polaków, tak i Białorusinów. Podczas meldowania się, zabierano książeczki wojskowe. Z centrum rejonu na ten czas przyjeżdżały władze wojenkomatu, lub wyznaczeni przez nich zastępcy i obowiązkowo był politruk. W rejonie juraciszko-wskim, zazwyczaj na tę okazję wyjeżdżał major milicji Jaki-

mienko i major wojenkomatu, Marynicz. Politruk zebranych mężczyzn odprowadzał gdzieś na ubocze, lub do wolnej wiejskiej izby i w ciągu kilku godzin opowiadał tam różne bzdury, aby zająć czas, potrzebny dla pracy pozostałych w sielsowiecie naczelników. A ci, w ciągu tego czasu, pracowali z "nałożeniem", bo w każdej książeczce wojskowej, gdzie była wpisana narodowość "Polak", trzeba było ją skreślić, zapisać - "Białorusin", a później należało zrobić odpowiednią "adnotację", podpis i postawić pieczęć. W księgach gospodarczych sielsowietu, gdzie był spisany skład całej rodziny, każdej zagrody wiejskiej, też zrobiono odpowiednią "korektę", dotyczącą narodowości, a w końcu takiej księgi - naczelnik rejonowego wydziału milicji robił zapis, że w tej książce tytuł i tytuł osobom zmieniono narodowość "Polak" na "Białorusin"; korekcie wierzyć, podpis i pieczęć.

Takim sposobem, w ciągu paru godzin sowieckiego "chrztu" na terenie sielsowietu, nie pozostawiano ani jednego Polaka, a w ciągu kilku tygodni - ani jednego w całym obwodzie.

Po zakończeniu "pracy" z dokumentami, zebranych mężczyzn wzywano przez oblicze naczelnika i rozdawano z powrotem książeczki wojskowe. Ci, co zostali jako pierwsi zebrani na taki "chrzt", nie zwracali uwagi kładli książeczkę do kieszeni i czym prędzej śpieszyli do swoich zagród, gdzie na nich czekała praca, ponieważ w tym czasie kołchozów jeszcze nie było. Dopiero po paru dniach Polacy uświadamiali sobie, że zostali podstępnie oszukani. Ci, którzy z pewnych powodów, nie mogli być na takiej zbiórce, byli wzywani do rejonu z uprzedzeniem, że w razie nie stawienia się, będą doprowadzeni pod areszt i to skutkowało.

Sielsowieckie księgi po kilka lat przechowywano w nie zamkniętych szafach w sielsowietach i były dostępne do oglądania podczas nocnych dyżurów, na które wyznaczano po kolei wszystkich mężczyzn. Ja również do 1953 r. kilka razy zastępowałem ojca i te księgi oglądałem. Dziś znajdują się one gdzieś w archiwach.

Wiadomość ta prędko rozeszła się po sielsowietach i w niektórych z nich, jak na przykład koło Sobotnik, prawie wszyscy Polacy odmawiali przyjęcia książeczek wojskowych, pozostawiając je na kilka lat w sielsowietach. Przy tych akcjach nie brano niczego pod uwagę: ani poprzednich polskich dokumentów,

potwierdzających narodowość polską, ani udziału w walce w szeregach Polskiego Wojska Ludowego ani wysokich wojskowych polskich odznaczeń.

Były w tych akcjach przykłady sprzeciwu, dość poważne, ale nieliczne. Oto kilka.

Młodym chłopcom w wieku przedpo-borowym, wydawano tak zwane "pripisnyje swidietelstwa", gdzie Polakom była przymusowo wpisywana narodowość białoruska. Mieszkaniec wsi Boczeszniki koło Łazdun, Jan Kulic, postanowił walczyć z tą niesprawiedliwością na życie i śmierć, a był to jeszcze czas, gdy żył "ojciec narodów", Stalin. Na wszystkich sporządzonych na niego w wojenkomacie dokumentach, nigdzie się nie podpisywał, aby potem pod jego podpisem nie podrobiono narodowości białoruskiej, a od "pripisnoho swidietelstwa" w ogóle nie odmówił się, tak więc leżało ono w komisanacie. Wkrótce został powołany do wojska. Do jednostki wojskowej przyszedł za nim śladem jego dokumenty z odpowiednią adnotacją, nietrudną do odgadnięcia. Przed przysięgą, szczególnie zajmował się nim "politdział". Przyszedł czas na przysięgę. Jan Kulic postawił kwestię twardo, po pierwsze: że mu w dokumentach wpisują narodowość Polak i on przyjmuje przysięgę i wiernie służy Związkowi Radzieckiemu; po drugie: jeżeli Polakowi nie wolno służyć w szeregach Armii Czerwonej, to niech go odesłają do Polski i tam on będzie wiernie służyć w obronie wspólnoty socjalistycznej.

Wiadomo, że o spełnieniu jego warunków nie mogło być mowy, a za odmowę przysięgi, wyładował w kamieniołomach Kaukazu. Tam w ciągu 3 miesięcy był wykorzystywany do najcięższych prac fizycznych. Władze doszły do wniosku, że gołdów jest umrzeć, niż zrzec się narodowości Polaka i odesłać do cywila, a w książeczce wojskowej pojawił się napis "w sowieckim wojsku nie służył z powodu przekonań religijnych".

Później Jan Kulic pracował w Wołodyńskim Przedsiębiorstwie Samochodowym. Zginął tragicznie. Jego rodzina na pewno do dziś mieszka w Wołodynie.

Taki to był bohaterski, a zarazem i tragiczny los tego dzielnego Polaka spod Łazdun.

Za podobny wyczyn, mieszkaniec wsi Derenie koło Juraciszek, Eugeniusz Wróblewski, był skierowany do ciężkich robót fizycznych przy budowie dróg asfaltowych na południu Ukrainy.

Jeszcze jeden bolesny przykład. Jan Borysewicz, obecnie mieszkaniec Juraciszek, po wyzwoleniu w 1944 r., jako młody chłopak, wstąpił od razu do Wojska Polskiego i przeszedł z walkami aż do Kołobrzegu. Tu, w zaciętej walce, został ciężko ranny, stracił oko. Za tę bitwę otrzymał Krzyż Walecznych. To o nim później Alojzy Sroga w swej książce historycznej "Na drodze stał Kołobrzeg", napisze: "Serdeczny, "śpiewający" z wileńska żołnierz, który karmił Piskorskiego (swego dowódcę S.U) miodem". Pisząc swą książkę, A. Sroga nie wiedział, że zginął wtedy w Kołobrzegu ten "śpiewający żołnierz", a Bóg oddał go życiu po dzień dzisiejszy.

W 1949 r. J. Borysewicz, na skutek odniesionych ran i kontuzji, poczuł ból w głowie. Po leczeniu w Minsku, został skierowany na dalszą kurację w sanatorium na południe. Aby tam wyjechać, musiał mieć paszport. Zwrócił się, w Juraciszkach w tej sprawie o pomoc do wydziału opieki społecznej. Wystano odpowiednie pismo do wydziału paszportowego i prośbę telefoniczną naczelnika wydziału opieki społecznej. Wypełniając w wydziale paszportowym potrzebne drukarki, Borysewicz wpisał narodowość Polak, a gdy przyszedł w wyznaczony dzień po paszport, to mu powiedziano, że wydawać paszporty z wpisem narodowości polskiej zabroniono. Powtórną interwencję w wydziale opieki społecznej, niczym się nie zakończyła. Powiedziano otwarcie, że jeżeli chcesz żyć, to pisz to, co ci każą, a jeżeli tego nie chcesz robić, to siedź w domu i czekaj śmierci ze swym Polakiem. W tym czasie Janek był w pełnym rozkwicie młodości i siły i pomimo kalektwa tak mu się jeszcze chciało żyć i kochać. Wybrał życie... Parę lat temu, Jan Borysewicz razem z żoną, przeleciał samolotem z Moskwy przez Warszawę, aż do Rzymu, na ślub córki, do Neapolu. Mogli na własne oczy przekonać się, że im dalej na Zachód, tym więcej jest szanowany zwykły szary człowiek.

Powróćmy jeszcze raz do tych, którzy zostawili swe książeczki wojskowe w sielsowietach. Jak długo tam leżały? W ciągu kilku lat wszyscy byli zmuszeni je zabrać. W tym okresie paszportów nie było, często więc wykorzystywano książeczki wojskowe. Komuś coś trzeba było sprzedać, czy zdać na skup żywiec, potrzebne było z sielsowietu zaświadczenie, a wydawano je tylko tym, co zgodzili się zabrać swoje książeczki wojskowe. Książki przy udzielaniu ślubu zobowiązany był zadać odpowiednie zaświadczenie z sielsowietu.

Najbardziej zaufanym osobom, książkę, narażając się na niebezpieczeństwo, udzielał potajemnie ślubu bez zaświadczenia.

Józef Iwuć ze swoją żoną Albiną, tak oto opowiadają o tym ślubie. Dogadali się z księdzem w sobotnickim kościele, że udzieli im ślubu po kryjomu. "W wyznaczony dzień, wieczorem, we dwoje, bez żadnych świadków, podeszliśmy pod miasteczko. Potem do kościoła poszliśmy o różnej porze i różnymi drogami, po ślubie też tak samo, aby jakiś sowiecki denuncjator nie doniósł na księdza, bo mogło to grozić zamknięciem kościoła. Niewesoły na zewnątrz był ten ślub, ale w duszy czuliśmy radość, że ślub ten zawarliśmy przed Bogiem, po polsku i jako Polacy".

Wkrótce otrzymamy nowe paszporty Republiki Białoruś, gdzie już nie będzie wpisywana narodowość, a tylko obywatelstwo. Niech młodzi ludzie, po przeczytaniu tego artykułu, wiedzą dlaczego dzisiaj w rejonie iwjewskim, oszmiańskim, wołkowyskim, ostrowieckim i innych tak mało w spisach jest Polaków. Nawet ostatnie spisy ludności przeprowadzane były wbrew wydanym do nich instrukcjom.

Chciałbym przytoczyć jeszcze kilka przykładów z innych dziedzin, dotyczących niszczenia polskości. Dla przykładu: grób wielce zasłużonych dla kultury nie tylko białoruskiej w pierwszym rzędzie, ale i dla kultur innych sąsiednich narodów, rysownika Napoleona Ordy, który w swej spuściźnie zostawił ponad 1000 rysunków zamków, pałaców, budowli kulturowych różnych religii, zabytków. Grób jego w Janowie Polskim (dziś Iwanowo), został zniszczony doszczętnie przy budowie ulicy Sowieckiej, a kamienny nagrobek został potłuczony i wrzucony pod fundamenty. A jaki jest los grobu zasłużonego pośia Ziemi Nowogródzkiej, T. Rejtana, lub trumny ze zwłokami króla Stanisława Poniatowskiego?

Na zakończenie jeszcze jeden przykład sowieckiego barbarzyństwa. W odległości 10 km od Lidy, w majątku Zapole, w latach 1823-1831 żył i pracował uczony światowej sławy, Ignacy Domejko. W 1939 r., po rozlokowaniu się tu jednostki czerwonoarmistów, wszystkie książki, obrazy, portrety i niektóre meble, zostały wyrzucone na dziedziniec i podpalone. Żyjący naoczni świadkowie twierdzą, że ten stos palił się przez dwie doby.

Nie będę dalej nudził czytelnika przykładem sowieckiego barbarzyństwa, bo napewno każdy zna wiele podobnych przykładów w miejscu swego zamieszkania.

Stanisław USZAKIEWICZ

oni, że są u innych gospodarzy. Podobnych akcji przechwytywania można przytoczyć mnóstwo.

Jednak, nie patrząc na to wszystko, działacze ZPB i rodzice, walczyli do końca o polską klasę, która była jednak otwarta w 1993 r. I kiedy Związek walczył o jej utrzymanie, Kołyszko podał ogłoszenie do prasy, podpisując je swoim nazwiskiem, że w Lidzie została otwarta polska klasa. Jaka przewrotność!

Niestety, po dwóch tygodniach władze rozwiązały klasę. Coż, miały największy argument w ręku - "opinię społeczną", którą spreparował Kołyszko ze swoją organizacją. Dzisiaj nowy zarząd z p. I. Tyrkin, mają identyczne problemy z TKPZL. Widząc, że klasa polska jednak została utworzona i że zaczęto budowę Domu Polskiego, Kołyszko pod pretekstem, że chce pomagać, a raczej opiekować się i jednym i drugim, marzy wsiąść na cudzego konia i z szabelką w ręku, z kopytą, polecić ku swojej sławie i majątkowi. I na miły Bóg, nie należy dopuszczać go blisko stajni, bo i naprawdę poleci, depcząc po drodze wszystkich tych, którzy w pocie czoła harują nad polskim szkolnictwem i budową Domu Polskiego w Lidzie. Broń nas, Boże, przed takimi pomocnikami i opiekunami.

Helena ŚWIESZCZUK

Lida

ODRODZENIE

NA CUDZYM KONIU

zaproсила grupę młodzieży religijnej z jasełkami z Warszawy, wówczas Kołyszko powiedział do mnie: "Pani Heleno, to bomba!" Więc jasełek po polsku w Lidzie przedstawić z wielkiego strachu się, nie udało. Ze słów Kołyszki, było na to za wcześnie. Coż było robić. Bierze my autobus w ostatniej chwili i wieziemy polską młodzież do Paszkowicz i Radunia. Śliczne były jasełka.

Kiedy byłam odpowiedzialna za pracę w rejonie, też wiele rzeczy się pamięta. Kiedy zakładaliśmy pododdział w Brzozówce i został już prawie wybrany prezes, miał się odbyć koncert. Nie wiadomo skąd, pojawił się Kołyszko ze swoimi zwolennikami i narobił balaganu.

Jeśli chodzi o polską klasę w Lidzie, to walkę o nią oddział ZPB prowadził 3 długie lata. Walka była ciężka, bo nie tylko ustawicznie odcuwalimy niechęć władz miejskich i kuratora oświaty. Najstraszniejsze było to, że Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej, na czele z P. Kołyszko, dołożyło wszystkich sił, żeby ta klasa nie powstała.

Robili to otwarcie, współpracując z władzami. Latem 1993 r., przy okrągłym stole, w obecności władz miasta, przedstawiciele oświaty, na czele z kuratorem, P. Mazowko, Kołyszko powiedział do słowni: "Sprawa otwarcia polskiej klasy na dzisiejszy dzień jest nierealna i o tym jeszcze za wcześnie mówić". A w tym czasie rodzice stali za drzwiami, czekając na ostateczną decyzję. P. Choder, który jako jedyny, uparcie starał się udowodnić potrzebę otwarcia klasy, grożąc nawet władzom wielkimi nieprzyjemnościami ze strony rodziców, wyszedł z tego posiedzenia czerwony ze zdenerwowania. Dzisiaj P. Choder nie jest prezesem i na pewno mu nie zaszkodzi, jeśli przytoczę tu jego słowa, wypowiedziane w pasji: "Rozumiem dzisiejsze władze komunistyczne, bo zawsze męczyły, dręczyły, przeszkadzały, będą i nadal to robiły - to ich praca i chleb, ale Kołyszko zasługuje na jedno - kulę w łeb".

Na drugi dzień odbyło się spotkanie zarządów oddziału ZPB i TKPZL, na którym ponownie dyskutowano o polskiej klasie. P. Choder poprosił o ko-

mentarz TKPZL, na temat antypolskiego artykułu, uderzającego w polskie szkolnictwo na Białorusi, który ukazał się w lidzkiej rejonowej gazecie z podpisem członka Zarządu TKPZL, p. Staniewiczza. Nie mogę tu przytoczyć całego artykułu, ale myślę, wystarczy apel z końcówki tego antypolskiego "dzieła": "Rodzice! Zamyślcie się przed tym, nim oddacie wasze dzieci do polskiej szkoły, bo po jej ukończeniu, nie czeka ich nic lepszego, niż praca w charakterze ładowaczy, czy zamiataczy ulic". Myśleliśmy od razu, że ten artykuł, to jakieś nieporozumienie. Niestety, Kołyszko i członkowie jego zarządu, zaczęli bronić Staniewiczza i jego antypolskiej racji. Po prostu w głowie się nie mieści, ale taka jest prawda. Te dwa spotkania odbywały się w obecności p. senatora Cwojdzirskiej, p. Filika i innych gości z Polski. Goście przyjechali do Lidy na zaproszenie Oddziału ZPB, aby zbadać opinię w sprawie polskiego szkolnictwa. Niestety, byli przechwytni w drodze do Lidy przez TKPZL w Szczuczynie i dopiero na drugi dzień swego pobytu w Lidzie dowiedzieli się

W ciągu 5 lat pracy w ZPB w Lidzie, nigdy nie pisałam, ale artykuł prezesa, p. Tadeusza Gawina, poruszył mnie tak bardzo, że po pewnym czasie zabrałam się do pisania. Sprawiedliwość musi zwyciężać. Musimy pisać swoją historię, o przeżyciu 50-cu okropnych bolszewickich lat, bo nawet ta nasza wielka historia jest przywłaszczana przez innych. Niestety, i dzisiaj jest to zbyt widoczne. Niektóre osoby, w naszym przypadku p. Kołyszko, potrafi szybko zorientować się i sam sobie przywłaszczyć to, do czego nie ma on żadnego prawa.

W 1989 r. prezes, p. K. Choder, zajął się sprawą budowy Domu dla Polaków w naszym mieście. Wtedy można było wybudować niewielki, ale swój dom. Obecni na zarządzie Kołyszko i Siemionow, natychmiast skrytykowali naszą propozycję. Im się to wydawało nierealne. Nawet z panującą nomenklaturą można było szybciej załatwić niektóre sprawy pozytywnie, niż z Kołyszkiem. Pewnego razu Kołyszko zaproponował mi zostać sekretarzem, zamiast obecnego sekretarza, p. G. Pacyny - bo to siostra Ks. St. Pacyny. Ona może za szkodzić w działalności. Akurat w tym czasie Grażyna była w szpitalu. Byłam bardzo oburzona. Bo kto, jak nie Grażyna, załatwiała wiele spraw. Nikt nie potrafił tak mówić i tak pisać poprawnie po polsku. Gdy w 1990 r. ta sama Grażyna

KRAJ OJCZYSTY

Jazda do Orszy

Teresa Siedlarowa

"Familianci to howiem byli w Orszańskim, Kmicice i panowie znacznych fortun, ale tamte strony płomień wojny zniszczył, fala zalewała kraj coraz dalej, gdzieś tam tylko o warowne mury się odbijając, ale i mury padały jedne za drugimi, jak upadł Smoleńsk. Województwo smoleńskie, w którym leżały fortuny Kmiciców, uważano za stracone". Płomień wojny, rozniecony przez pryncy i zachód imperializm moskiewski, właściwie nigdy nie przyszedł, a najlepszym dowodem na to jest właśnie Orsza, w której wszystko, co miało jakąś wartość zabytkową, wszystko, co było stare, zostało obrócone w perzynę. Dziś nie ma w Orszy nic, co by cieszyło oko, czy choć przyciągało uwagę. No, może, jedynie dwie płynące przez Orszę rzeki: Orszyca i Dniepr. Młodzieńki, wąski jeszcze Dniepr, przyjmuje tu wody bystro płynącej Orszy i byłoby to nawet ładne miejsce, gdyby nie kolor wody - rudobrazowy.

Niegdyś, przed rozbiorem, w Orszy było siedem kościołów i kilka klasztorów. Niewiele z tego zostało. Kościół właściwie nie ocalał żaden. A klasztory? W budynku po franciszkańskim mieszkała przybyła z Rosji biedota, która zniszczywszy przydzielone izby-cele doszczętnie, wyrwijac nawet podłogi i framugi okienne, przeniosła się na inne miejsce, po to zapewne, by niszczyć kolejne przydzielone mieszkanie. W dawnym klasztorze Bernardynów jeszcze funkcjonuje coś w rodzaju szpitala, ale tego budynku nie remontowano od wielu, wielu lat, więc jest to chyląca się ku upadkowi ruina. Stosunkowo najlepiej zachowały się budowle pojezuickie. Wprawdzie przypadkowi użytkownicy robili wszystko, by zamienić je w ruinę, ale te gmachy były masywne, więc coś niecoś jeszcze ocalało. Przedziwnie przebudowany stwór zapewne był kościołem. W długich poklasztornych korytarzach zachowały się sklepienia, można się nawet doszukać jakiejś celi. Tyle, że wszystko tonie w gruzie, pyłe, brudzie i kompletnym zaniechaniu. Blisko miejsca, gdzie Orszyca wpada do Dniepru, stoi "coś", co niegdyś było kościołem ojców dominikanów (choć w tej chwili nie przypomina kościoła) i już od roku jest świątynią katolicką, a ocalało tylko dlatego, że przed laty było tu kino. Pozbawiona wież, prezbiterium i chóru, budowla wygląda okropnie. Ale że była kinem - miała dach, podłogę i rzędy krzeseł. Zamieszkali w Orszy katolicy, po wielu latach starani, wywalczyli dla siebie to kino i wreszcie odprawia się tu nasze święto. Współczesna Orsza nie ma nic wspólnego z chorałym orszańskim, imię panem Kmicicem, choć ród ten rzeczywiście z tej ziemi się wywodził i choć do dziś między Orszą a Polockiem znajduje się rodzinna wieś Kmiciców - Babincze. W książce telefonicznej Orszy nie ma ani jednego Kmicica, ale jak wiemy, Kmicic "wymigrował" na Żmudź do swojego Lubicza, a przede wszystkim do swojej Oleńki. Natomiast jest w tej książce wiele polskich nazwisk, i to bardzo pięknych. Taką samą długą listę swoich parafian ma ksiądz Wojciech Sokółowski, młody marianin, który od prawie roku opiekuje się tu tejszą zmarłych parafią. "Tu rzeczywiście niczego nie było - mówi ksiądz Sokółowski - wszystko powstaje od podstaw. Praca tutaj jest zupełnie inna i dużo trudniejsza, niż na ziemiach, które przed wojną należały do Polski. Tu i tam Białoruś, ale sytuacja Kościoła i świadomość ludzka zupełnie inna. Mogłem się o tym

dobrze przekonać, bo pracowałem przez ponad rok w dwóch parafiach na dawnej Wileńszczyźnie (obecnie Białoruś) - w Hermanowicach i Dzisiej. Tu pracę kapłańską misyjną trzeba zaczynać od podstaw. Przypomnę, że Orsza miała to nieszczęście, iż odpadła od Rzeczypospolitej już po pierwszym rozbiórce, a więc w 1772 roku. Od tego czasu była tu Rosja. Ale i wtedy

dzieliłem po koleędzie (była to pierwsza koleđa po kilkudziesięciu latach), widziałem taki brud i nędzę, że nawet nie będę opowiadał, bo trudno uwierzyć. Nikomu nie chce się uprawiać ogrodu, na ziemiach II Rzeczypospolitej przy najniższym domku jest zagon, ogród pełen wszelkiego dobra). A na moje pytanie, dlaczego nie chowają kur, gęsi czy świnki, odpowiadano: "A po co?" Lata systemu sowieckiego zrobiły swoje. Tu jak ktoś ma trochę

przedziwnym, że przydałby się niewątpliwie do muzeum Forda w Detroit. Naprzeciw nas siedział siwiuteńki staruszek z licznymi tobołkami. Miał bardzo niebieskie oczy, jeszcze całkiem bystro patrzące i piękne rysy twarzy. "Takie twarze można zobaczyć na obrazach Matejki", powiedziałam do księdza, ale on zbył to lekceważącym machnięciem ręki i dodał: "Pani to już w każdym napotkanym człowieku widzi Polaka". Dojechaliśmy do Dubrawnej. Ksiądz poszedł na poszukiwanie pałacu i kościoła, ja czekałam przed dworcem. Po chwili wrócił z niczym. Nikt, ale to nikt nie wiedział, gdzie stał pałac kniazia, ani gdzie był kościół. Na szczęście nasz staruszek coś marudził ze swoimi pakunkami, wiazał je sznurkiem, przygotowywał do drogi. Poprosiłam księdza, by się do niego zwrócił. Staruszek na pytanie o Lubomirskich, podniósł głowę, popatrzył bystro na nas i uśmiechnąwszy się powiedział: "Jakżeby mógł nie wiedzieć, ja jestem Afanazy Witkowski, a mój dziadek, Sylwester Witkowski, był ostatnim osobistym kucharzem kniazia Lubomirskiego". Tak więc po chwili szliśmy już za panem Witowskim, ksiądz, niosąc tłumaczki staruszkę, a ja z dumnie podniesionym moim dziennikarsko-harcerskim nosem, którym na odległość wyczuwam Polaków. Pałac Lubomirskich stał niegdyś na wzgórzu, otoczony parkiem, tak nam tłumaczył pan Afanazy i na to wskazywały nagle ślady. Oczywiście, pałac został zburzony, a na jego fundamentach postawiono barak - magazyn. Wyszliśmy na plac przed barakiem, po chwili wyszedł z niego z lekką przestraszony człowiek i szybko powiedział: "Tu nic nie zostało po kniazia, a park już dawno zabetonowaliśmy". Rzeczywiście, przed nami ciągnął się asfalcem pokryty plac wielkości krakowskiego Rynku Głównego, w dali na horyzoncie ciągnęły się jakieś pola, jakieś wzgórza. Pan Witkowski, który coś jednak zapamiętał, pokazał nam, gdzie stały zabudowania, a to wozownia, a to koniusznia itd.

Zaś pan kierownik, a raczej towarzyszy kierownik, chcąc się nas pozbawić, wyprowadził przed magazyn, wskazał ręką w kierunku zieleniących w dali drzew i powiedział: "Nie, nie tu po nich nie ma, tylko o, tam dwie pańskie lipy zostały". I szybko zamknął bramę. Nawiasem mówiąc, z takim zachowaniem spotykaliśmy się wszędzie na Ziemiach Wschodnich. Tłacza się świadomość zagarnięcia cudzego mienia budziła strach, że jednak dawni właściciele zechcą odebrać swoje. Wracając z magazynu, wstąpiliśmy do pana Witkowskiego. Staruszek mieszka sam. Z zewnątrz domek jeszcze jakoś wygląda, ale w środku izba przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Podłoga była prawie zgniła. Strop podstemplowany słupem. Ze strychu kapłała woda. Drzwi bez klam-

ki, właściwie się nie zamykały. Za to w rogu tej zawilgoconej izdebki stała piękna, ogromna, pokryta skórą kanapa, zaś przy bocznej ścianie stał rzeźbiony, dobrej roboty kredens, zapewne spadek po dziadku, osobistym kucharzu księcia. Z ciężkim sercem opuszczaliśmy samotnego staruszkę, a ksiądz, choć sam nieraz nie dojadł, obiecał sobie, że jak najprędzej pošle paczkę z odrobiną żywności, bo nie ma nic smutniejszego, jak głodna starość. Zanim wsiedliśmy do autobusu, usiłowaliśmy jeszcze znaleźć fundowany przez Lubomirskich kościół w Dubrawnej. W końcu znaleźliśmy coś, co zapewne było niegdyś kościołem, może nawet klasztorem, ale co dziś niczego takiego nie przypomina. Stan tej budowli najlepiej świadczy o jej obecnych właścicielach i użytkownikach, o ich kulturze i cywilizacji... Innym znów razem, pojechaliśmy z księdzem Wojciechem do Tałocznina, niedużej miejscowości na linii Orsza - Borysów. W Tałoczninie miejscowi Polacy, czy miejscowi katolicy, o pięknie brzmiących polskich nazwiskach, właśnie niedawno wywalczyli od władz pozostałości po kościele. Świątynia była kiedyś pomalowana na niebiesko, ale tynk w połowie odpadł. W środku gruba warstwa gruzu. W prezbiterium stół przyniesiony przez kogoś z parafian. Przed nim jedna ławka zbita z drewna (to dla osób starszych), krzyż na ścianie. Zimno, ale ksiądz Wojciech - widać z miny - jest zadowolony, bo od ostatniego razu parafianie wprawili szyby w okna, więc już nie będzie gwizdał wiatr w czasie odprawiania Mszy świętej. Przewodniczącym rady parafialnej jest młody lekarz, uważający się za Polaka. Kogoś mi przypomina. Jest wysoki, chodzi w butach z cholewami, ma brodę i dosyć długie włosy. Wyraz twarzy ma łagodny, ale i stanowczy zarazem, w jasnych uczciwych oczach można wyczytać wolę walki z zakłamaniem i wszelkim złem. Walki o prawdę i sprawiedliwość. On właśnie omawia z księdzem dalsze prace nad przywróceniem do życia kolejnego domu bożego w Tałoczninie, w Ziemi Orszańskiej - a ja już wiem, gdzie podobną twarz widziałam. To powstaniec styczniowy z galerii w Sukienicach w moim Krakowie jest taki sam. Wracamy do Orszy pociągami. Jak zwykle, ze względu na brud i zaduch panujący w wagonach, całą drogę stoimy na pomoście. Na jakiejś stacji otwierają się automatycznie drzwi, spoglądam w tamtą stronę i nie mogę nie krzyknąć. Boże! Na wprost otwartych drzwi na peronie zije ogromna i bardzo głęboka dziura, właściwie dół. Gdyby ktoś wychodził, a nie spojrzał w dół, runąłby w tę czelusz. Jestem przerażona, mówię o tym głośno. I nagle odzywa się młody człowiek, który cały czas też stał na pomoście, ale nie zwracał na niego uwagi. Teraz widzę, że jest w miarę ładnie ubrany, nie ma tłumoków, a torbę przewieszoną przez ramię, nie zionie alkoholem, jak to z mężczyznami w tym kraju bywa. Zwraca się do nas i patrzac rozumnymi oczyma, w których wyczytać można goręć i trud borykanią się z wszystkim, mówi: Eto Rossija - nikt nie obraszcza jej wniimanja...



Kościół jezuitów w Orszy.

dworów, kościołów, a także polskich pałaców była większość, tyle że ich liczba malała wraz z upływem czasu i kolejnymi powstaniami. Byliśmy wczoraj w Dubrawnej, niegdyś Lubomirskich, potem w Tałoczninie, a przejeżdżaliśmy przez Kochanów. Stowem, wiele tu, mimo wszystko i wbrew wszystkiemu, zostało. Można powiedzieć, że choć jest tu Rosja, a właściwie Białoruś (niestety, to właściwie to samo), jednak w duszy tych ludzi jeszcze tkwi isierka polskości, jeszcze niektórzy czują w sobie polskie korzenie. U nielicznych też pozostała świadomość, że to były niegdyś ziemie Rzeczypospolitej i że stąd są tu Polacy. To właśnie tacy ludzie zapragnęli kościoła w Orszy i dla nich tu jestem. Kościół, niegdyś piękny, należał do ojców dominikanów.

Zbudowano go w XVII w. Ale do tego strasznego stanu, w jakim się znajduje, doprowadzony został na pewno dopiero przez bolszewików. Ta szarobura pomalowana ruina, wymaga natychmiastowego remontu, a ludzie tutaj bardzo ubodzy. Najgorsze, że bezwolni. Kiedy cho-

ziemniaków i beczkę kapusty na zimę, uważa, że mu się dobrze powodzi, że bieda nie zazna! Zresztą, nawet ci, którzy przyjechali tu z dawnej Wileńszczyzny, czy Nowogródzkiego, niewiele mogą zrobić. Przecież wczoraj, kiedy byliśmy na prośonym obiedzie, zająca Polka, pani Kossobudzka, chcąc nas uhonorować, "swojego" księdza i panią - zrobiła bliny, a na deser utarła nam marchewkę... No, ale miała marchewkę, bo ona z Wileńszczyzny, więc ma pewnie jakiś ogródek. Tak sama pani Kossobudzka skarżyła się, że kiedy poszła do lekarza ze swoją chorą nogą, lekarz rozłożył beznadziejnie ręce i poradził przykładać miód, bo nie ma żadnych leków. "Sierp i młot chwyci cię głód" - pani Kossobudzka przypominała powiedzenie, które stało się modne tuż po wkroczeniu Sowietów na ziemie polskie. No, a od tego czasu zmieniło się tylko na gorsze. Pewnego razu pojechaliśmy z księdzem Wojciechem do Dubrawnej. Właścicielami Dubrawnej i wielkich posiadłości ziemskich byli niegdyś Lubomirscy. Chciałam sprawdzić, co po nich zostało i czy w ogóle coś zostało. Jechaliśmy autobusem z chorałym orszańskim, z drewnianymi ławkami i tak

MOJE MIASTO

Miło mi wspomnieć moje dzieciństwo. Żył się spokojnie, beztrudnie. Mamusia i starsze rodzeństwo troszczyli się o mnie. I raptem - o zgrozo! Wrzesień 1939 rok. Niemiec napadł na moją Ojczyznę od zachodu, ze wschodu zaś wkroczyła na nasze tereny Armia Czerwona. I zaczęło się... Znikł uśmiech na twarzach u ludzi, zamienił go strach i przeżywanie. Co będzie jutro? Zaczęły się aresztowania i wywózki niewinnych ludzi. Szły duże transporty w głąb Rosji. Brata mojego, polskiego oficera, aresztowali, wywieźli i zamordowali w Ostaszkowie, a mnie 14-letnią dziewczynkę z mamusią i siostrą, załadowali do bydlęcych wagonów i zawieźli na

Syberię, aż do Altajskiego Kraju, gdzie w bardzo ciężkich warunkach życia i pracy, w nędzy i głodzie, przyszło nam przeżyć pięć lat. Będąc na Syberii, zawsze wspominałam swój Pińsk. Śnił mi się po nocach. Marzyłam o powrocie do swego rodzinnego miasta. I przyszedł 1946 r. Transporty z ludźmi wyjeżdżały do Polski. Ja zaś powróciłam do Pińska.

Miasto moje kochane
stolica Polesia mojego,
dlaczego tak Cię uwielbiam?
sama nie wiem, dlaczego.

A właściwie dlaczego nie wiem?

Przecież tutaj się urodziłam,
tym chlebem z rodzonej ziemi
razowym pachnącym się wykarmiłam

Ten komin fabryczny,
który pamiętam z dzieciństwa,
to fabryka zapalek i dykty
tak mi to stoi w oczach,
że nie zapomnę tego nigdy.

A rzeka Pina, tak sobie płynie
i wpada do Prypeci
z tym, że nigdy nie zginie
chociaż czas tak szybko leci.

Tuż koło Piny - park Leszczyńskiego,
prastare drzewa stoją jak mur.
Pińczanom niemożliwie zapomnieć tego
i ten przeczudny ptaszęcy chór.

A jaką piękną Nadbrzeżną mamy
pospacerować po niej, każdy chęci miał
Wysadzona aleja cudnymi lipami
Cudy te obejrzeć każdy by chciał.

A tam, dalej i dalej, rozciągają się łąki,
chodzą bociany
w poszukiwaniu pokarmów,
na nie czekają ich dziatki,
które nie znoszą długiej rozłąki.

O, drogie Polesie, kraju mój miły,
ile to przeżyć wypadło na Twoją miedzę
to tylko trzeba zrozumieć Cię dobrze,
Ale czy starczy mi na to siły i wiedzy.

Helena SZOŁOMICKA

Pińsk

LISTY NASZYCH CZYTELNIKÓW

DZIĘKUJĘ ZA DAR SERCA

Za pośrednictwem gazety, pragnę złożyć, płynące z głębi serca, słowa wdzięczności Janinie Strzelkiewicz - pani prezes Oddziału ZP w Bobrujsku.

Kilka słów o sobie. Mam 34 lata. Posiadam rodzinę: męża i dwóch synów, Saszę i Leonida, ale los chciał, że przez ostatnie lata w moim życiu nie było dni radosnych.

Młodszy syn Sasza, urodził się w październiku i strasznym 1986 r. Po 2 latach i 8 miesiącach zapadła diagnoza - rak krwi. Starszy syn - Leonid wkrótce po urodzeniu, także zapadł na ciężką chorobę. Przez te wszystkie lata, nasze życie z mężem przypominało koszmar. I jeżeli sprawa związana z chorobą młodszego syna w pewnym stopniu została rozwiązana w Niemczech, to w sprawie starszego syna, przed nami był zawsze ślepy zaułek, dokąd byśmy nie zwracali się o pomoc - pomoc nie nadchodziła.

Los zetknął mnie ze wspaniałym, serdecznym człowiekiem - prezesem Od-

działu ZPB w Bobrujsku, p. Janinę Strzelkiewicz. Obcując z nią, po raz pierwszy odczułam współczucie i zrozumienie. Powiedziała mi: "Pomogę wam, ale musicie nieco poczekać. Wierzę, że mi, zapanuje radość w waszej rodzinie".

Pani Janina, pomimo że nie jest osobą młodą, jest bardzo energiczna. Poświęca się całkowicie pracy społecznej, działa na rzecz odrodzenia polskiego języka i kultury ojczystej. Zawsze znajduje słowa pociechy dla ludzi, jest dla nich życzliwa i uprzejma.

Przejęła się losem mojego syna. W ciągu dwóch lat pisała listy do różnych instytucji, między innymi i do Zarządu Głównego ZP w Grodnie. Ostatnio zwróciła się z prośbą o pomoc do Ambasady RP w Mińsku, do p. Krzysztofa Dłużewskiego i p. Danuty Górkowskiej.

I oto otrzymaliśmy zawiadomienie od pana Henryka Czuka, że mój syn zostanie przyjęty na badania kliniczne, oraz bezpłatne leczenie w Centrum Zdrowia Dziecka, w Warszawie.

Uświadomiłam sobie, jakie kosztą z tym związane poniesie strona polska.

Brak słów, którymi można by wyrazić swoją wdzięczność.

W Warszawie zaopiekowali się nami p. Henryk Czuk, p. profesor Rowerska, siostry Joanna i Tomasz, Maria Metera, brat Albert, oraz inni bracia z zakonu bonifratrów. Przeprowadzone zostały badania kliniczne.

Ponowny nasz przyjazd ma się odbyć w lipcu b.r.

Z całego serca dziękuję przedstawicielowi Fundacji Sybiraków, p. Henrykowi Czukowi, księdzu Piotrowi, Marii Hafzur, TV "Polonia", p. profesor Rowerskiej, prof. Remerowi, siostrze Joannie i Tomasz, bratu Albertowi, oraz wszystkim tym, kto okazał nam pomoc i współczucie.

Będziemy zawsze pamiętać o tych, kto okazał tyle serca mnie i memu synowi. Będziemy się modlić o to, by takich ludzi było coraz więcej na ziemi. Niech Bóg ma Was w swej opiece.

Stanisława KIEWLICZ
z rodziną

Bobrujsk

EPIZOD WOJENNY

Byłem łącznikiem placówki AK, położonej pomiędzy Żyrmunami, a rzeką Dzitwą. Komendantem placówki był Zegzdryn (ps. "Drań"). Ja miałem pseudonim "Chudy". W marcu 1944 r., gdy ukończyłem 14 lat, złożyłem przysięgę i otrzymałem stałe zlecenie. Przedtem pomagałem chłopakom dorywczo. Roboty wystarczało. Często musiałem chodzić do Mendrykowszczyzny, gdzie komendantem był Tubilewicz, do Jaświł (komendant - Łoszakiewicz, ps. "Iskra"), do Gierwienik (komendant - Stefanowicz) i in.

Oto jeden epizod z tamtych lat.

Pewnego razu wracałem z placówki do domu. Droga wiodła przez las. Miałem przewieszoną przez ramię tkaną torbę, którą nazywano u nas "szarak". W torbie zawsze miałem coś do zjedzenia, a niekiedy i wyroby metalowe, ponieważ ojciec był kowalem. I oto, na skrzyżowaniu leśnych dróg, natknąłem się na dwóch uzbrojonych Niemców, którzy w rękach nieśli wiadra i kosze pełne jaj, serów, masła i innych produktów. Zatrzymali mnie. Miałem w torbie masło. Zabrali je. Zaczęli prosić: "liebe deutsche Soldaten, meine Mutter ist krank" - kochani niemieccy żołnierze, mam chorą matkę. W odpowiedzi usłyszałem, że chorą masło szkodzi. Jeden z Niemców dał mi na pocieszenie kilka paczek landrynek i jednego drożdża, a następnie kazano mi iść.

Poszedłem szybkim krokiem, ale po chwili usłyszałem, jak mnie wołają z powrotem. Ujrzałem dwóch niemieckich żandarmów z automatami i blachami na piersiach. Oddali mi moje masło, i powiedzieli po polsku, abym nikomu nie mówił o tym, co zaszło. Oddaliłem się nieco, wyrzuciłem zza krzaka i zobaczyłem rzecz nie do pomyślenia: żandarmi rozebrali tych dwóch do bielizny, zabrali broń i zrabowaną żywność. Na dodatek rabusie dostali kopniaka i poszli w stronę Żyrmun.

Ja tymczasem, jak mnie uczono, zrobiłem duży krąg przez las i wróciłem na placówkę, by zawiadomić o całym zdarzeniu. Placówka mieściła się w długim starym domu, w stodole odpoczywali chłopcy, powracający z patrolu. Gospodarzyła w obejściu kobieta w średnim wieku, z dwoma synami, o nazwisku Padejko. Gdy wróciłem i opowiedziałem, co się wydarzyło, na gospodyni nie zrobiło to żadnego wrażenia, tylko powiedziała: "Wejdz do izby, zjedz obiad". Gdy wszedłem do chaty - zdumiałem się: przy stole smacznie zjadali dwaj żandarmi, których napotkałem w lesie, a na ławie stały wiadra i kosze z żywnością. Na mój widok, siedzący przy stole, zaczęli się śmiać. Opowiedziano mi jednak, jak to było. Do placówki dotarła wiadomość, że w pobliskich Szewierdach grasują dwaj rabusie. Wysłano im na spotkanie szturmowo-patrołową grupę, która się ukryła w lesie. Gdy już mieli zaatakować Niemców, napaloczyłem się ja, a częściowo przeszkodziłem, a częściowo ułatwiłem sprawę: gdy Niemcy byli zajęci mną, domniemani żandarmi niepostrzeżenie zbliżyli się do nich. Reszta już wiadoma.

Marian BAŁTROSZ, ps. "Chudy"
Lida

Może kto pamięta mego ojca?

Zwracam się do Was ze sprawą osobistą, którą mam nadzieję, dzięki Wam uda mi się rozwiązać. Otóż, od wielu lat poszukuję rodziny mego zmarłego Ojca. O Ojcu wiem jedynie z opowiadań mojej Mamy, a także z informacji, udostępnionych mi przez Polski Czerwony Krzyż.

Mój Ojciec, Aleksander Markowski, syn Aleksandra i Anny, urodził się 19 kwietnia 1910 roku w Kościeszkach na Białorusi. Przed wojną mieszkał w miejscowości Zahory w pow. Wołkowskim. Służył on w artylerii w Wojsku Polskim. Całą wojnę spędził w niewoli. Najpierw przebywał w Stalagu VIII, a następnie w Gross-Rosen. W 1945 r. ożenił się z moją Mamą i z tego związku



Maria GRZESIAK pracuje dyrektorem Domu Kultury we wsi Dylewce rejonu wołkowskiego, gdzie w większości mieszkają Polacy. Swoją działalność Pani Maria poświęca odrodzeniu tradycji kulturalnych naszego narodu.

Fot. Eugeniusz Raduń

urodziło się troje dzieci: dwóch synów i córkę. Wiem, że jego Ojciec, a mój Dziadek, przeżył wojnę, zaś jego Matka zmarła w czasie wojny.

Bardzo chciałabym nawiązać kontakt z ludźmi, którzy znali mego Ojca, lub Jego Rodzinę. W związku z tym, mam ogromną prośbę do Redakcji o zamieszczenie mego listu w gazecie. Liczę, że może odezwie się ktoś, kto dostarczy mi więcej informacji, dotyczących moich bliskich.

Mój adres:
Urszula Otrębska
ul. Kiedrzyńska 63, m 12
42-200 Częstochowa
Polska

SPOTKALIŚMY ARCYBISKUPA

Wśród sosnowych lasów, które napełniają miejscowość czystym, zdrowym powietrzem, jest małe miasteczko Porzece. Malowniczy krajobraz, z dużym jeziorem, uzdrowisko-sanatorium, zachęca do wypoczynku ludzi z różnych stron. Wstęgi dróg łączą Grodno-Druskienniki-Wilno, wszystko to mknie przez Porzece.

Cennym zabytkiem jest położony w pobliżu lasu mały kościółek, gdzie od wielu lat króluje w swym Cudownym Obrazie, Matka Boska Nieustającej Pomocy. I właśnie u Najświętszych Jej

Stóp, dzięki proboszczowi O. Andrzejowi, z wielkim entuzjazmem porzecka parafia, miała zaszczyt, jak nikt dotąd, na Białorusi, powitać Jego Ekszelencję Arcybiskupa Moskwy, Tadeusza Kondrusiewicza. Świątynia przepełniona, uroczysta Msza św., głębokie Słowo Boże i błogosławieństwo, które na długo zostanie w pamięci parafian. Szczęść Boże Jego Ekszelencji, w trudnej pracy odnowy Kościoła Chrystusowego.

Alicja CHOCIAN

Porzece

PAMIĘTAJ O ŻYCIU

Plastyk wewnątrz, Alojzy Zadubek, miał kaca - skutek poprzedniej libacji z kolegami, podczas której piło się nie tylko małe jasne i duże ciemne, ale też i coś mocniejszego...

Plastyk wewnątrz wstawiał się nie po raz pierwszy, ale poprzedni wieczór był wyjątkowo paskudny. A to też z tego powodu, że majster od telewizorów Antek Sateliński - wśród kolegów Złota Rączka - przycepił się do Alojzego z idiotycznym pytaniem - dlaczego Zadubek nie zmienił swojego nazwiska. A Zadubek swojego nazwiska zmieniać nie chce. Dla Zadubka jego nazwisko brzmi bardzo swojsko. Nikt, tylko Antek docinał plastykowi:

- Ładnie dźwięczy - w głównej roli wystąpiła Małgorzata Zadubkówna.

- Przecież wiesz doskonale, że moja żona została przy panińskim nazwisku - zupełnie serio replikował Alojzy.

Plastyk wewnątrz miał to do siebie, że na nikogo się nie obrażał. Podobne docinki jednak w ciągu całego wieczoru - to już za wiele. Po zamknięciu piwni, Alojzy i Antek wrócili do domu razem, bo mieszkali w sąsiedztwie, a i podtrzymywali się nawzajem w razie potrzeby. Dom plastyka był bliżej, niż Złotej Rączki, można więc rzec, że to majster od telewizorów odprowadzał Alojzego

-Wybacz, staruszk - mówił Antek na pożegnanie - twoje nazwisko jest naprawdę ładne. Za-du-pek - przesyłabizował.

-Nie Zadupek, a tylko Zadubek - wymamrotał plastyk.

-Mniejsza z tym, zresztą, artysta marlarz musi mieć oryginalne nazwisko. Dobranoc kochany - i Sateliński ni z tego, ni z owego pocałował plastyka w rękę.

Żony Alojzego w domu nie było. Już drugi tydzień filmowała się w terenie. Za wszelką cenę chciała zostać gwiazdą, ale jak na razie nic z tego.

W domu natomiast była teściowa. Miała chore nogi i była zła, jak cholera. Od razu po wyjeździe Małgosi, Zadubek zepsuł telewizor, bo teściowa oglądała wszystko pod rząd i przeszkadzała Alojzemu w myśleniu. A miewał takie chwile. Jakże tam zresztą zepsuł, wziął i wyjął bezpiecznik. A żeby teściowa nie zadzwoniła do naprawy, odłączył jeden druk w kontakcie telefonicznym.

-Byłeś? - nie zwracając uwagi na pomiotłozony wygląd plastyka i nie odpowiadając na trudno zrozumiałe "dobry wieczór", tradycyjnie spytała teściowa, mając na myśli wizytę w warsztacie telewizyjnym.

-Byłem - wytrzeźwiał na jakiś moment plastyk wewnątrz, chociaż, rzecz jasna, tam nie był i nie miał najmniejszego zamiaru iść. - Byłem - powtórzył raz jesz-

cze i przestraszył się swego twardego głosu, i zdecydowanej postawy. - Jutro o jedenastej przyjdzie majster. Najlepiej, jaki jest w warsztacie.

Po obudzeniu się, plastyk wewnątrz nie mógł dać rady ze swoim wnętrzem. W żołądku burczało, przewracało się, w gardle było sucho, w kieszeni pusto. Sytuację komplikował fakt, że musiał coś wymyślić z telewizorem, który był przecież w porządku.

Głowa Zadubka pracowała oczywiście na zwolnionych obrotach, ale nagle, zupełnie nieoczekiwanie, przyszła do niej myśl. Szybko się ubrał, wypił serwatki, którą teściowa zawsze trzymała na bliny, i, wychodząc, trochę mniej zdecydowanym głosem powiedział:

- O jedenastej przyjdzie majster.

Sam natomiast skierował swoje kroki do Antka Satelińskiego.

-Słuchaj, mam świetny pomysł - zawołał plastyk wewnątrz do Złotej Rączki. - Będziemy mieli na trzy co najmniej flaszki, a może i cztery - wszystko zależy od ciebie...

-Czekam godzinę - mówił Zadubek, odprowadzając Antka.

Majster szedł statecznie z walizką w Złotej Rączce, gdzie były części zamienne: potrzebne, mniej potrzebne i niepotrzebne. Sateliński wszystko nosił ze sobą.

-Pamiętaj, telewizor działa, jak ma być, zrób jednak wrażenie, że usterki są poważne.

...Plastyk wewnątrz czekał już ponad godzinę. Złotej Rączki wciąż nie było. Fakt ten już zaczynał działać na nerwy. Plastykowi sprzykrzyło się siedzieć na ławeczce w pobliskim skwerze, skąd obserwował klatkę schodową domu z mieszkaniem teściowej; sprzykrzyło się palić wstrętne papierosy o pięknej nazwie.

"Prima". Plastykowi wreszcie trzeba było gasić pożar wewnątrz swego ciała, które dygotało, potrzebując pomocy. Miał też wrażenie, że serce może mu za chwilę wyskoczyć z klatki piersiowej.

Po upływie drugiej godziny, Alojzy gotów był linczować Złotą Rączkę. Jak na złość, plastyk nie miał nawet kawałka jakiegokolwiek gazety - nie, żeby czytać coś do sensu, ot, byle mieć zajęcie, na przykład, porównywać czcionki.

Po upływie trzeciej godziny, Zadubek nie wytrzymał. Poderwał się z ławki. Drzwi otworzyła teściowa. Była w znacznie lepszym nastroju.

-Dobry widac majster-powiedziała zadowolona. - Pracuje długo, ale solidnie.

Alojzy wskoczył do dużego pokoju. Na podłodze leżał niemal całkowicie rozebrany telewizor. Antek kłęczał nad kinoskopem. Plastykowi zrobiło się nagle ciemno w oczach...

Alojzego pochowali na nowym cmentarzu. Kolega-dziennikarz palnął okazyjną mowę, żona trochę zapłakała dla formy, wszystko odbyło się szybko i dość sprawnie. Po pogrzebie kumple pojechali do swojej piwni wypić za duszę plastyka. - Dość rzadko, ale spotykam na mieście Antka Satelińskiego. Niewiele pozostało mu po złotej rączce, która za każdym razem trzęsie się coraz to bardziej.

Wspominając plastyka wewnątrz, mówi zawsze to samo:

Fajny był chłop. Nie rozumiem tylko, dlaczego nie chciał zmienić swojego nazwiska.

Władysław STRUMILO

Chcę wiedzieć więcej o Polakach Białorusi

Kochani Rodacy!

Zdziwicie się zapewne, że ktoś nieznajomy do Was pisze. Adres dostałem przypadkowo i nie jestem pewien, czy ten list dotrze do Waszych rąk. U nas wszystkie środki masowego przekazu, jak też i prasa, przeważnie katolicka, tak nawołują, ażeby utrzymywać kontakt z tymi Polakami, którzy obecnie mieszkają na dawnych terenach byłego ZSRR, więc dlatego parę słów kreślę. Może znajdzie się ktoś, kto zechce ze

mną nawiązać korespondencję. Byłoby mi bardzo przyjemnie. My tutaj jesteśmy ciekawi, jak Wy tam żyjecie, co robicie i jak Wam się powodzi. Nasza prasa pisze, że w najgorszych warunkach żyją Polacy w Kazachstanie, oraz na Białorusi. Niektórzy już nawet nie znają języka ojczystego i mają bardzo ciężkie warunki bytowe. Co do nas, to nie można na razie narzekać - wszystkiego jest pod dostatkiem, zarówno w sklepach, jak też na targowiskach. Co

prawda, co jakiś czas drożeją niektóre artykuły, jak też usługi, ale teraz już bardzo nieznacznie. Jak w każdym kraju, utrzymuje się bezrobocie, ale też, kto chce pracować, napewno pracę znajdzie. Co do mnie, to jestem starym, samotnym człowiekiem na emeryturze, tak, że mam sporo wolnego czasu.

Ciekawi jesteśmy, czy Wy macie jakąś swoją gazetę w języku polskim, bo chyba audycje radiowe odbieracie? Przesyłam serdeczne pozdrowienia dla

wszystkich Polaków, życząc zdrowia i wytrwałości.

Jerzy WDOWICKI

Krasnystaw
Mój adres:
Jerzy Wdowicki
ul. P.C.K. 25 m 3
22-300 Krasnystaw
Polska

WSPOMNIENIA

ORLICZ

Latem ubiegłego roku otrzymałam w prezencie od kierownictwa Świątowego Związku AK, książkę Jerzego Ślaskiego, "Polska walcząca". Tę książkę autor poświęcił swemu synowi i jego rówieśnikom. Książka pochłonęła moje dni i noce. Jednym tchem przeczytałam ponad tysiąc stron. I oto dowiedziałam się o chłopcu, prawie dziecku, z Brześcia, Ryszardzie Terpiłowskim, który walczył pod pseudonimem "Orlicz". Błyskawicznie przebiegła myśl - jak go odnaleźć.

Gdy byłam w lutym w Warszawie, poproszono mnie o dostarczenie leków chorej córce jednego z mieszkańców Brześcia. Czytam nazwisko i serce mi radośnie zabiło - Ryszardowi Terpiłowskiemu.

Za kilka dni p. Ryszard Terpiłowski już siedział u mnie w mieszkaniu. Nie wysoki, bardzo ruchliwy starszy pan, sprawiał wrażenie człowieka bardzo zakłopotanego, tylko oczy patrzyły młodo, pilnie. Z rozmowy dowiedziałam się o ciężkim materialnym stanie, o chorej córce, opowiedział i o tym, że zdrowie zarówno jemu, jak i żonie nie bardzo też służy. Musi jeszcze pracować jako kolejarz, zaś żona opiekuje się chorą córką. Proszę p. Ryszarda o wspomnienia z czasów II wojny światowej. Zamyslił się pan Ryszard, niefatwo było mu powrócić pamięcią do tych dawnych ciężkich czasów...

Brześcianin, syn kolejarza, spotkał wojnę jako jedenastoletni chłopak. W

1944 r. gestapo aresztowało ojca wraz ze starszym bratem - Henrykiem, za aktywną działalność niepodległościową. Nawet nie wie, gdzie zostali straceni. Wydał zdrajca, Bolesław Lopian. W całym rejonie brzeskim odbywały się aresztowania. Zdrajca, wspólnie z gestapo, jeździł Opłem po całym rejonie, wskazując miejsce zamieszkania patriotów. Dziesiątki ludzi stacono, a ślad po zdrajcy zaginął. Tuż przed samą obławą, ojciec wysłał Ryszarda do krewnych, do wioski Zieleniec, jakby przeczuwał, co ma nastąpić. Przez pewien czas Ryszard ukrywał się u państwa Jadwigi i Stanisława Jankowskich, swego wujka. Teraz państwo Jankowscy mieszkają w Mińsku Mazowieckim. Lecz krewni wkrótce musieli porzucić swe miejsce, bo też aktywnie działali w walce podziemnej. Zabrali ze sobą Ryszarda do formującego się oddziału partyzanckiego AK "Warta 4", dowodzonego przez ppor. "Marka" Stanisława Nablaka. Oddział ten aktywnie działał od wiosny 1944 r. na środkowym Polesiu, nastę-



pnie w południowo-wschodnich rejonach Puszczy Białowieskiej. Następnie był przyjęty do 82 pp 30 Dywizji AK, pod dowództwem majora "Grzmota", cichociemnego. Tak, będąc jeszcze prawie dzieckiem, Ryszard Terpiłowski walczył z wrogiem, godnie, jakby zastępując w szeregu walczących straconych ojca i brata. Trudne warunki leśnego życia, stała groźba niebezpieczeństwa, akcje bojowe... Przeszedł trudnym szlakiem bojowym od bagien i lasów Polesia do okolic podwarszawskich. Spieszyli bardzo Akowcy z pomocą Powstaniu Warszawskiemu. Ostatni przystanek - Korczew, przed Wisłą. Lecz Sowieci odebrali możliwość pomocy skapanie krwi w Warszawie. Rozbroili i rozformowali dywizję. Cudem przeżył wojnę, w 1951 r. został powołany do wojska sowieckiego, co uratowało go przed aresztowaniem przez KGB.

Jak i przedtem, Ryszard Terpiłowski mieszka na ziemi swych przodków, za którą dzielnie walczył z bronią w ręku, będąc jeszcze dzieckiem, za którą oddali swe życie jego ojciec i brat, jak i tysiące innych...

Maria SULIMA

Brześć

Na zdjęciu: z lewej "Orlicz" z prawa jego kolega Tomek Wyszko. Lato 1944 r.

Dedykuje Ryszardowi Terpiłowskiemu, żołnierzowi 82 pp. 30 dywizji AK

Szumia sosny, szemrzą jodły,
Rozszlochała się brzezina -
czujnym, bądź, żołnierzu młody,
Iada chwila możesz zginąć.

Ciężka ci przypadła nosza,
Óma naokół wściekłych wrogów,
Los sierocy - los najgorszy,
Krąży jak kruk śmierć nad tobą.

Masz karabin ciężki w ręku,
Jest od ciebie pewno dłuższy,
Czy niczego się nie lękasz?
I twe serce się nie kruszy?

Tobie usiąść by za ławę,
Wziąć zeszyty, książki w ręce -
Tak brzezina wciąż płakała,
Tak las szumiał, szlochał, jęczał.

Brwi leciutko "Orlicz" marszczył,
Wycierając z potu czoło,
By Akowskim kroczyć marszem -
Mężnym, krwawym i bojowym.

Zamiast ojca walczyć muszę,
Jestem prawie już dorosły -
I dziękował ślicznie puszczy
Za matczyne o nim troski.

Przez poleskie bagna, lasy
Przebiegł szlak bojowy chłopca.
O walecznych, byłych czasach,
Świadczą tu kurhany, kopce.

Bo ta Ziemia na Polesiu
Jest obficie krwią zalana,
Wiatr o walkach piosenki niesie,
Szemrze puszcza zadumana.

OJCIEC MIAŁ RACJĘ

(Ciąg dalszy. Początek patrz Nr 12, 1995 r.)

Pociąg towarowy z ludźmi z Pińska ruszył w drogę. Uzbrojeni żołnierze nie pozwalali na przystankach wychodzić z wagonów. Tylko kilka młodych osób mogło wyjść z naczyniami po "kipiatok". Karmili jakąś "bołuszką". Najtrudniej było tym, którzy nie wzięli w drogę zapasów żywności.

Po tygodniu przywieźli nas do Koczetawu, skąd ciężarówkami odwieźli do kolchozu "Lobanowo". Zakwaterowali na słomie w szkole. Mieli nas później zakwaterować w mieszkaniach kolchozników, ale mieszkańcy pozamykali domy i spacerowali ulicą, szepcząc coś pomiędzy sobą. Nie znałam języka rosyjskiego, nie wiedziałam, o co chodzi. Znajomi opowiedzieli, że po wsi poszła pogłoska, że przyjechały "polskie prostytutki", stąd wynikała ta niechęć mieszkańców. Przewodniczący kolchozu musiał zrobić zebranie i wytłumaczyć ludziom, kim jesteśmy.

Takim sposobem, u tych ludzi przetrwałym do wiosny. Tych ludzi zapraszały do siebie te rodziny, które posiadały maszyny do szycia. Szyłam im odzież, jeszcze do domu dawałam mleko i pieczywo, którymi dzieliłam się z potrzebującymi. W taki sposób pomagałam rodzinie Polowców, w której było czworo dzieci.

Wiosną chodziliśmy pleć pszenicę, len, kartofle, później - na sianokosy. Miejscowe kobiety-sybiraczki, z którymi pracowałam, zawsze mnie dokamniały.

Zimą wezwał mnie naczelnik milicji i zaproponował objęcie stanowiska kierowniczką spółdzielni krawieckiej w Aryk-Bałyku. Jak oświadczył, "dwie poprzednie kierowniczki posadziłyśmy za złodziejstwo i nam potrzebny jest sumienny człowiek". Próbowałam odmówić, nie pomogło: "budujecie czysto robotą" - nie posadim. Objąłem proponowane mi stanowisko. Pracowałam tam z dobrymi miejscowymi ludźmi. W 1942 r. przyjechał mój mąż z republiki Komi. Był wynędzniały, oberwany, chory i zawoszony. Wyprosiłam u naczelnika materiał na spodnie i kufajkę. Zbudowałam ziemiankę z daminy, oblepiliśmy gliną. Mąż pracował w kolchozie, ja w spółdzielni i jakoś żyliśmy.

W 1943 r. urodził się nam syn. Mąż zrobił łóżeczko z kołków brzoźowych, na sienniczek nasuszyliśmy trawę, a zamiast ceratki mąż - przyniosł z lasu kawałek młodej kory. Na pieluszkę poświęciłam część swojej bielizny. Dziecko kapałam podczas mrozów na ruskim piecu. Po pewnym czasie wezwali męża do polskiego wojska. Ja pozostałam z synkiem w swojej ziemiance do lata. Później męża zwolniono z wojska ze względu na stan zdrowia i powrócił on

do Pińska, skąd przysłał nam wezwanie do powrotu. Jednak milicja w Aryk-Bałyku odmówiła mi prawa wyjazdu, musiałam udać się z dzieckiem do odległego o 100 km Koczetawu, gdzie otrzymałam niezbędne papiery. Sprzedałam swoją ziemiankę, niepotrzebny sprzęt oraz to, co wyrosło w ogródku i wyjechałam. Takich rodzin, jak moja, zebrało się w Koczetawie dużo. Jechało się towarowymi wagonami z wartownikami aż do Moskwy, a stamtąd pociągami osobowymi do Pińska. Gdy z synkiem weszłam w progi rodzinnego domu, przyjmowali mnie ze łzami w oczach rodzice męża.

Nasze szczęście rodzinne trwało krótko. Mąż zachorował na raka płuc, pozostałam z synem i teściową. Dopiero w 1953 r. zostałam przyjęta do pracy w Towarzystwie Niewidomych. Odeszłam na emeryturę, mając 1 grupę inwalidzką. W 1990 r. zabrali mi mój ładny drewniany, pięciopokojowy dom z ogródkiem, pod budowę szkoły. Zapłaciła za to 7 tysięcy, wnukowi tysiąc, swoje 3 tysiące umieściłam na książeczce oszczędnościowej. Co się z moimi oszczędnościami stało w wyniku inflacji - powszechnie wiadomo. W taki to sposób, nasze władze, takich jak ja, oszukiwały i okradaly, zabierając nam ostatnie okrucy. Co prawda, za dom, ja i syn, otrzymaliśmy oddzielne mieszkania, ale czy te klatki można porównać z własnym domem z ogródkiem i sadem?

Apolonia JAKUTOWICZ -
BARAŃCZYK

Pińsk

Stanisław Mikołajczyk

POLSKA
ZGWAŁCONA

ODCINEK XIII

Katyn

Byliśmy już przyzwyczajeni do kłamstw propagandy niemieckiej i wiedzieliśmy, co kryło się za jej ostatnimi rewelacjami, a jednak, w obliczu dokładnych i wszechstronnych informacji, dotyczących odnalezienia wielu tysięcy ciał polskich oficerów koło Smoleńska i kategorycznego twierdzenia, że dokonano tej zbrodni Sowiety na wiosnę 1940 roku, zaistniała konieczność zbadania tych grobów i sprawdzenia przedstawionych faktów przez tak wiarygodną instytucję międzynarodową, jak Czerwony Krzyż. Rząd Polski zwrócił się więc do tej instytucji o wysłanie delegacji do miejscowości, w której miała być dokonana rzeź polskich jeńców wojennych.

Kryminalnie hipokrytyczny ton organów niemieckiej propagandy, był w tym czasie zbyt trudny do strawienia. W dniu więc 17 kwietnia 1943 roku, tj. dzień po naszym apelu do Czerwonego Krzyża, nasz Rząd wysłał komunikat, który podsumował zbrodnie nazistów, popełnione w Polsce. Zaprzeczaliśmy w nim nazistom prawa do występowania w roli obrońców chrześcijańskiej Europy przed rosyjskim Wschodem. Ale wyjaśnienia Sowieckiego Biura Informacyjnego odnośnie Katynia, były tak samo nieprzekonywujące, jak pretendowanie nazistów do roli obrońców Europy Zachodniej. Rosjanie oświadczyli pompatycznie:

Niemiecko-faszystowskie mordery, których ręce zbrukane są krwią setek tysięcy niewinnych ofiar, którzy metodycznie tępią ludność krajów okupowanych, nie oszczędzając nawet dzieci, kobiet i starców, którzy w samej Polsce wyniszczyli setki tysięcy ich obywateli, nie zdołają nikogo oszukać oszczerstwami i kłamstwami. Nie trudno dopatrzeć się ręki Gestapo w tym ohydnym oszustwie. Jest zgodne z prawdą, że pewna ilość polskich jeńców wojennych była w 1941 roku w rejonach na zachód od Smoleńska, (Kompletne zaprzeczenie oświadczenia Sowieców, że ludzie ci byli zwolnieni - p.r.) ale po wycofaniu się wojsk sowieckich ze Smoleńska, wpadli oni razem z masą obywateli sowieckich w ręce niemiecko-faszystowskich katów.

Niektórzy z nich zostali natychmiast zabici przez Niemców. Innych pozostawiono na okazyj specjalną, a ta nadarzyła się teraz. Niemieccy faszyci rozstrzelali tysiące bezbronnnych ludzi, zaopatrzyli ciała w fałszywe dokumenty, które mieli w archiwach Gestapo i pochowali swe ofiary na ziemi rosyjskiej. Użyli do tego celu kopców, w których dokonywane były archeologiczne badania wykopalisk w Gniezdowie, by teraz ignorować w ogóle fakt ich istnienia.

Tak więc zagadka staje się zrozumiała. Polscy jeńcy wymordowani zostali przez Niemców. Miało to miejsce ostatnio i dlatego ciała po-

mordowanych nie uległy zepsuciu.

Niemieccy faszyci, którzy wymordowali polską inteligencję, którzy zmienili ludność Polski w bytło, przyjmują teraz na siebie rolę obrońców Polski. Czy ktoś może sobie wyobrazić Niemców jako obrońców Polski? Jest to chyba nonsens, w który nikt w całym świecie nigdy nie uwierzy. Szkalując Związek Sowiecki, starają się odwrócić uwagę świata od ich własnych zbrodni.

W dniu 19 kwietnia "Prawda" podała, w słowach pełnych oburzenia, że Rząd Polski na wygnaniu pokłonił haczyk z przynętą w celu ukrycia "własnego czarnego rejestru". Oskarżyła nas również o współpracę z "katami hitlerowskimi". Nasz apel do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, stwierdziła ta gazeta oficjalnie, "stał się pomocą dla wroga, by ten mógł fabrykować obrzydłe kłamstwa, które napelniają odrazą wszystkich ludzi ze zdrowym rozsądkiem". Ostateczny cios został zadany w dniu 25 kwietnia 1943. Spodziewaliśmy się tego. Ale użycie incydentu w Katyniu jako pretekstu, wydawało nam się w Londynie szczytem okrucieństwa. Zachowanie się Molotowa, gdy wręczał ambasadorowi Tadeuszowi Romerowi historyczną notę, odzwierciedlała wrogość tekstu tej noty. Kończyła się ona oświadczeniem, że Sowiety zrywają stosunki dyplomatyczne z Polską.

W dniu 27 kwietnia Międzynarodowy Czerwony Krzyż ogłosił, że nie podejmie kroków, zmierzających do sprawdzenia oskarżeń niemieckich, chyba że otrzyma podobne zaproszenie od Rządu Sowieckiego". Po dniu 30 kwietnia byliśmy pewni, że Stalin nigdy nie wyrazi zgody na przekazanie tej sprawy neutralnym obserwatorom. Ogłosiliśmy więc, za pośrednictwem Polskiej Agencji Telegraficznej, że w związku z trudnościami, na jakie napotyka MCK w wykonaniu naszego zadania, uważamy ten apel za wygasły.

Niemcy jednak kontynuowali swoje własne dochodzenia. Stworzyli w tym celu międzynarodową komisję lekarzy i profesorów, których powołali głównie z krajów okupowanych przez wojska Hitlera.

Ta, popierana przez Niemcy komisja, ogłosiła pod koniec swoich badań, że oficerowie zostali zamordowani w marcu i kwietniu 1940 roku. Terytorium to było w tym czasie w rękach rosyjskich. Niezależnie od tej komisji, przeprowadziła inspekcję grobów delegacja Polskiego Czerwonego Krzyża z Krakowa. Pokazano te groby również grupom polskich, amerykańskich i brytyjskich jeńców wojennych.

Nie ma jeszcze dotąd pełnego sprawozdania z mordów, dokonanych na tych ofiarach. Jest jednak prawda, której nie da się zaprzeczyć, że mordarstwa dokonali z zimną krwią Rosjanie i nikt inny, tylko oni. Władze rosyjskie wydawały oświadczenia o "zwolnieniu" tych oficerów, w dwa lata po wymordowaniu ich w sposób, który musiał chyba doprowadzić niebo o smutek.

CDN

RELAKS > ROZRYWKA > HUMOR

Lekcja języka polskiego

dr Danuty KRAMARSKIEJ
i mgr Jadwigi BORYS

Temat: Formy odmiany przymiotnika - cz. I

a). Przymiotniki odmieniają się przez przypadki, liczby i rodzaje, a ich formy zależą od przypadku, liczby i rodzaju określanego rzeczownika.

W liczbie pojedynczej przymiotniki występują w trzech rodzajach: męskim, żeńskim i nijakim, np. ładny dom, ładna szkoła, ładne miasto.

Wzór odmiany:

R. m.	R. ż.	R. nijaki
M. ładny dom	ładna szkoła	ładne miasto
D. ładnego domu	ładnej szkoły	ładnego miasta
C. ładnemu domowi	ładnej szkole	ładnemu miastu
B. ładny dom	ładną szkołę	ładne miasto
N. ładnym domem	ładną szkołą	ładnym miastem
Msc. o ładnym domu	o ładnej szkole	o ładnym miście

W liczbie mnogiej przymiotniki występują w dwóch rodzajach: męskoosobowym i niemęskoosobowym, np. ładni chłopcy, ładne konie, domy, szkoły, miasta.

Wzór odmiany:

R. męskoosobowy	R. niemęskoosobowy
M. ładni chłopcy	ładne dziewczyny
D. ładnych chłopców	ładnych dziewczyn
C. ładnym chłopcom	ładnym dziewczynom
B. ładnych chłopców	ładne dziewczyny
N. ładnymi chłopcami	ładnymi dziewczynami
Msc. o ładnych chłopcach	o ładnych dziewczynach

Formy męskoosobowe przymiotników wtedy, kiedy określają rzeczowniki osobowe rodzaju męskiego; formy niemęskoosobowe - kiedy określają pozostałe rzeczowniki.

b). W bierniku przymiotniki rodzaju męskiego mają formę równą formie dopełniacza, jeśli określają rzeczowniki żywe, lub formę mianownika, jeśli określają rzeczowniki nieżywe, np.:

widzę młodego chłopca, małego konia, widzę mały samochód.

c). W narzędniku i miejscowniku l.poj. przymiotników rodzaju męskiego i nijakiego mają końcówki -ym lub im, np.:

N. dobrym uczniem, drogim materiałem, posłusznym dzieckiem, lekkim płótnem.

Msc. (o) dobrym chłopcu, drogim materiale, posłusznym dziecku, lekkim płótnie.

NARODZINY POCZTÓWKI

Wynalazcą pocztówki był profesor, ekonomista Akademii Wojskowej w Wiedniu, Emmanuel Herman. W styczniu 1869 r. zamieścił on na łamach gazety "Neue Freie Presse" wiadomość o tym pomysle, wskazując jednocześnie na jego zalety. Autor obalał obawy, związane z możliwością ujawnienia treści przesyłki. Na 33 mln listów doręczanych co roku w Austrii, jedna trzecia nie zawiera żadnych sekretów. Pocztówki są oszczędniejsze, nie wymagają koperty, szybciej je można napisać.

Proponując Hermana rząd Austro-Węgier przyjął, rezygnując jedynie z wymogu ograniczenia liczby słów. 1 października 1869 r. "correspondenz-

karte" znalazła się w obrocie pocztowym tego państwa. Miała wymiary 123x83 mm, wydrukowany był na niej znaczek o wartości 2 krajcarów. Tak więc kilka miesięcy temu, minęło 125 lat od narodzin pocztówki. Niedługo potem, bo w lipcu 1870 r., identyczna forma komunikowania się zatwierdzona została w Niemczech. Inicjatorem był Heinrich von Stephan, którego propozycje zarząd pocztowy poprzednio trzykrotnie odrzucał.

Zwyczaj ilustrowania pocztówek miał swój początek w wojnie francusko-pruskiej. Zimą 1870 r. w małym miasteczku bretońskim, Conlie, skoncentrowano armię, liczącą 40 tys.

żołnierzy. Ponieważ każdy z nich chciał przesłać wiadomość do domu, więc też wkrótce zabrakło papieru i kopert. Właściciel księgarni, Leon Besnardeaux, wpadł na pomysł, aby wykorzystać w tym celu kartony bristolu, które pociął na prostokąty. Wkrótce zauważył, że nadawcy nie ograniczają się do napisania tekstu, ale wypełniają powierzchnię rysunkami i karykaturami. Księgarz wymyślił więc patriotyczną winietkę, zamówił litograficzne odbitki i sprzedawał pocztówki udoskonalone. Zainteresowanie było tak duże, że jeszcze w tym samym roku Besnardeaux zaprojektował inny rysunek, poświęcony armii i flocie.

W latach 1871 - 74 większość krajów europejskich zatwierdziła pocztówki jako jedną z form korespondencji. Kolekcjonowanie ich stało się oczywiście zwyczajem późniejszym. Wiązało się z przysyłaniem życzeń z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. W Anglii odbiorcy wykładali karty na koninku, a przychodzący goście wypowiadali się na ich temat, chwalać, lub krytykując. Wiele wskazuje na to, że królowa Wiktoria uległa tej pasji. Świadczy o tym jej korespondencja z królową Mary.

Rzadkie egzemplarze kart pocztowych zgromadzone zostały w Pretorii Republiki Południowej Afryki, w budynku Melrose House, przekształconym obecnie w muzeum. Są one traktowane jako wartościowe walory kolekcjonerskie.

Jan G.FAL

Z MYŚLĄ O LECIE



Minionym latem grupa wodniaków pod dowództwem pani komandor Doroty Taboły ze Szczecina, zamoczyła wioślarstwo w naszym Niemnie. Atrakcyjności tej wyprawie, oprócz wspaniałych krajobrazów, dodawały wycieczki podczas biwaków na brzegu. Turysty zwiedzili Nowogródek, Brzozówkę, Wólkowyś, mogiłę powstańców, oraz grób Jana i Cecylii w Bohatyrowiczach, a także kościoły i zamki Grodna. Oprócz tego zaufowali oni sobie wycieczkę do Druskiennik.

W roku bieżącym mają oni zamiar wylądować na Białorusi w dwóch grupach i popłynąć Szczarą i Niemnem.

Dodajmy do tego, że posilki im szykował, oraz dzielnie stróżował na biwaku, oczekując na powrót wycieczkowiczów, Stanisław Pocztobut-Odlanicki.

S.P.

Na zdjęciach: turyści ze Szczecina na Niemnie.



NA WESOŁO



FRANK SINATRA I NEZNAJOMY

Pewnego dnia Frank Sinatra zatrzymał się przy stacji benzynowej na pustyni, w pobliżu miejsca, gdzie kręcono z nim film. Pracownik stacji, spojrzawszy nań, rzekł:

- Wydaje mi się, że już gdzieś pana widziałem...

- Może w kine? - podpowiedział znakomity autor i piosenkarz.

- Być może. A w którym rzędzie zwykle pan siada?

PISARZ I KOLEGA

Pisarz francuski, Philippe de Jonas, ofiarował koledze po pió-

rze Andre Frossardowi swą książkę pt. "Spotkałem Erosa". Frossard odesłał mu ją wkrótce z taką uwagą:

"Drogi przyjacielu, wszyscy mówią, że od czasu do czasu nieudane spotkanie..."

CHURCHILL I BURMISTRZ

Winston Churchill był kiedyś na przyjęciu w Manchesterze, gdy po bankiecie podano kawę, burmistrz miasta nachylił się do niego i szepnął:

- Czy pozwolimy, by zebrani zabawili się jeszcze trochę, czy też chce pan już wygłosić przemówienie?

NA WESOŁO

PAUL CEZANNE I CUD

Ślawny malarz francuski, Paul Cezanne (1839-1906) opowiadał w gronie przyjaciół o swej drodze artystycznej.

- Od początku byłem uważany za cudowne dziecko...

- Jak to rozumieć? - pytali przyjaciele.

- Otóż wszyscy w rodzinie ciągle powtarzali, że będzie to prawdziwy cud, jeśli z tego dziecka coś wyrośnie

"Głos znad Niemna"

Wydawca: Związek

Polaków na Białorusi

Adres redakcji:

230005 Grodno

ul. Dzierżyńskiego 32

tel. 44-94-57, 44-63-75

Druk: Zakłady Graficzne

Grodno, ul. Poligrafistów 4

Zamówienie nr... 1570

Nakład 9633 egz.

Tygodnik: indeks 63863 Nr rej. 8

Indeks w Polsce 329258.

Prenumeratę przyjmują placówki Ruchu S.A.

Objętość pisma - 2 drukowane arkusze

Cena prenumeraty:

miesięczna - 500 rb.

I półrocze 1995r. - 3000 rb.

W Polsce na kwartał - 78 tys. zł.

(7 zł. 80 gr.)

Zast. redaktora naczelnego
Ryszard KARACZUN

Autorzy publikacji ponoszą odpowiedzialność za dobór i wiarygodność podawanych faktów. Ich poglądy nie zawsze są zbieżne z poglądami redakcji. Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów nadesłanych materiałów bez uprzedzenia, listowego kontaktowania się z autorami.